



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## EUGENIA JOHN.

(Marlitt).

Bardzo szlachetne pióro, zaznaczające się w pierwszej literaturze niemieckiej między najpierwszemi talentami bieżącego czasu, śmierć złała. Eugenia John, znana i naszej czytającej publiczności pod pseudonymem „Marlitt“, umarła w rodzinnem swem mieście Arnstadt, w Turynii, d. 22 Czerwca bieżącego roku. O życiu jej bardzo mało szczegółów doszło do wiadomości ogółu, i powtórzyć tu można ze Słowackim: „Z życia mego historia dla Boga!”

To, co ludzie o niej wiedzą, przedstawia obraz smutnie wzruszający. Ubogich, a raczej zubożonych, rodziców córka, została młodzieńką oderwana od rodziny. Ojciec jej, z zawodu kupiec, lecz z powołania artysta, był malarzem wyższego talentu i znakomitym kopistą starych dzieł sztuki klasycznej. Matka, bardzo piękna, obdarowana głosem bardzo wdzięcznym, pisywała poezje, i razem była to rodzina artystycznych gustów i uzdolnień niepospolitych, bo i brat odznaczył się jako lingwista. Dlatego może interessa kupieckie szwankowały, przyszła smutna zmiana losu, i dziecko poszło z domu do obcych, wzięte na wychowanie przez księżnę Schwartzburg-Sondershausen, którą pociągnął sdo dziewczęcia głos—sopran bardzo miły i wysoki, zapowiadający wyższy talent śpiewaczy. I talent ten był rzeczywiście, wychowywana bardzo starannie przez księżnę, kształcona w naukach i muzyce, dziewczynka wyrosła na pannę i została zawieszona przez opiekunkę do Wiednia, gdzie podda-

na examinom, a następnie nauce pierwszych nauczycieli śpiewu, miała otwarty przed sobą w perspektywie zawód śpiewaczki, gdy stała się z nią nagle rzecz okrutna....

Zaczęła doznawać częściowej utraty słuchu; wystąpiła na scenę, ale o powodzeniu, o chwale i tryumfach artystycznych, choćby o samodzielnym pędzonym życiu, nie mogło już być mowy. Pierwsze wystąpienie było upadkiem tych nadziei, i biedna wróciła do księżny, aby zostać jej lektorką.

Młode lata tak jej zeszyły. W 1863 r., więc już trzydziestokilkuletnią kobietą wróciła do Arnstadt—wróciła do miejsca, gdzie było kiedyś jej ognisko domowe; czy przecież znalazła je niezgaszone? Czy żyli jeszcze starzy rodzice, lub rodzeństwo, czy miała jakie kółko rodzinne? niewiadomo. Z księżną opiekunką nie związał jej widać węzeł serdecznego przywiązania, skoro rozstały się ze sobą; księżna na jednak nie opuściła jej zupełnie, bo Marlitt otrzymała od niej pensją, jakoby emeryturę za lata pracy, spędzone przy niej, na lektorstwie. Pensja ta została jej przecież wkrótce cofnięta; przypuszczać można, że ze śmiercią księżny, ale brakuje nam wiadomości tych szczegółów—lecz ona już znalazła samodzielną dźwignię dla życia swego. Po trzech latach pobytu w Arnstadt, w 1865 r., ukazała się pierwsza jej praca piśmiennicza, powieść pod tyt.: „Dwunastu apostołów“, drukowana w bardzo poczytnym i popularnym w całych Niemczech tygodniku „Gartenlaube.“ Redaktorem był wtedy Keil, człowiek wyższego umysłu i wolnomyślnych przekonań, niepodobny do Niemców dzisiejszych, usposobiony życzliwie dla wszystkich ludów, dążących za gwiazdą idei szlachetnej, a przytem obdarowany wyższym smakiem literackim, więc zdolny się poznać na talencie nowowystępującej pisarki. Pierwsza ta jej powieść, nieznaną mi, musiała jednak zyskać sobie łaskę czytelników, bo zaraz wkrótce drukowaną została druga: „Złota El-

zunia“ i ta wprowadziła już jej nazwisko: pseudonym „Marlitt“ do literatury powszechnej. „Złota Elżunia“ została przełożona na nasz język i drukowana w *Tygodniku Ilustrowanym*, co potem powtarzało się w kolei ze wszystkimi jej powieściami tłómaczonemi na nasz, francuzki i angielski język, przyjmowanemi zawsze z upodobaniem, z zajęciem niezmiernem: „Pamiętniki starej panny“, „Sinobrody“, „Gizella“, „Księżniczka wrzósów“, „Druga żona“, „Dziewka dzierzawcy“, „Kamienica Schillingów“. Ostatnią, po kilkuletnim przestanku napisaną, była: „Pani w rubinach.“ Pisać miała jedną jeszcze: „Dom sowy“—zaczęła już, ale śmierć przerwała robotę.

Cierpiącą była bardzo od lat wielu, silnie zrematyzowaną, w kolei lat ogłuchłą, przytem samotną—starą panną, ale nie goryczy, skargi na los, żalu nad życiem, któremu nie dostało się nigdy szczęście wiernie podzielanej miłości, które nie miało nigdy pociech macierzyństwa—nie brzmiało nigdy w jej pismach. Przeciwnie, pióro jej kreśliło zwykle obrazy pełne wdzięku i ciepła, pełne szlachetnej idealności, zawsze czyste, nigdy nie malujące dzikich i niskich namiętności.

To ją czyniło tak lubioną, to pociągało do niej. Nie siłać się na efekta gwałtownych kontrastów, cieniów czarnych na tle jaskrawego światła—nie wciągając czytelników w sferę namiętych szalów, nie brudząc im wyobraźni wrażeniami wstrętnych upadków—staczaniem się istoty ludzkiej do poziomu zwierzęcości, potrafiła budzić interes i przywiązywać do utworów swoich. Niezmierna świeżość i prostota w efektach artystycznych, wdzięk zawsze szlachetny stanowił ten urok, otaczający jej postacie, zwłaszcza bohaterki, przeważnie podniosłych duchem i umiejących przejść przez życie nieskalanie. Miłość natury musiała też być u niej wielką, bo prześlicznie malować ją umiała: las, łąka, droga wiodąca przez cienistą grobelkę, stary ogród zapuszczony—wychodziły

zpod jej pióra tak, że gdy natrafiła na czytelnika podobnie rozmiłowanego w tych rzeczach, dość już tego było, aby się do jej talentu przywiązać, aby go polubić i przyznać, że zaliczam się do tej liczby. Chyba jeden Kraszewski wyższym był od niej malarzem takich obrazów natury, prostych i zwyczajnych: „piasek, lasek, młyn i woda“, a razem śliczność i wdzięk pełen czaru, chwytającego i wiążącego do siebie.

Życie, pędzone w różnych sferach towarzyskich, dało jej szerszą znajomość ludzi i rozmaitości wrażeń, które odbijają się w jej powieściach. Znała tajemnice domowych ognisk szlacheckich i mieszczańskich, znała cnoty i wady obu stanów i czyniła się ich malarką. Pióro jej często kresli ciężkie położenie szlacheckiej zubożałej rodziny. W powieści „Im Schillinghoff“ przedstawia autorka dramat, osnuty no tle małżeństwa uboższego syna szlacheckiego z kobietą arystokratycznego rodu, ale słabowitą, nieładną i cierpką, może wskutek tego—kochającą ale drażliwą i odczuwającą, że kochaną być nie może miłością żony-kochanki. Na przyjaźń serdeczną, na przywiązanie wzbudzone wskutek tego uczucia, żona przystać nie chce; dręczy siebie i męża, który przecież mógł być inaczej sobie życie urządzić... Miał wielki talent malarski i mógł go użyć, aby stare mienie rodzinne, wielkie dobra poklasztorne z pałacem miejskim, jako rezydencją, nie wyszły z rąk rodziny. Ale pracować na pieniądze! Arnold von Schilling myśli tej w dniach młodości swojej nawet na chwilę przystąpić do siebie nie dał. Małżeństwo nieszczęśliwe zwichnęło dwa życia i zakończenie, które stosunki te rozrywa, aby Arnold nowe życie na innych warunkach rozpoczął, jest mniej szczęśliwie i nawet mniej naturalnie dodane. Rzadko to osiągnąć się daje, aby jeden żywot ludzki miał dwie edycje: jedną z błędem ciężkim; drugą, z której jego skutki okrutnie usunięte zostają. Bywają przecież wypadki podobne, więc autorka miała prawo do takiego rozwiązania, jakkolwiek osłabia ono wrażenie wywarłe przez tragiczność wypadków, w powieści przedstawionych.

Od dóbr po-Benedyktyńskich oddzielony był przy ich sprzedaży folwark podmiejski wraz z klasztorem który stał się domem mieszkalnym rodziny mieszczańskiej Wolframów. Że tu rządziła pracowitość i oszczędność, która grosze szanować umie; że tu żony i córki rajców miejskich sprzedawały osobicie mleko, drób i jarzyny nawet wtedy, gdy już ród ów stał się krociowo-bogactwem—bogactwa te rosły, a nie zmniejszały się. Był i tu przecież kamień obrazy. Że pieniądze zebrane sprowadzały chciwość coraz większą, pychę twardszą i przykrzejszą, niż duma szlachecka,—że brakowało tu połotów myśli wyższej, nieszczęście i upadek znalazły też sobie furtkę do wejścia. Mąż, z innymi nawykami, z innymi kierunkami myśli i uczucia, piękną mieszczańską żonę porzucił; syn jego, nie mogąc życia tu pędzonego zniesić, czyni skok nieszczęśliwy w stronę inną. Ożenił się z istotą płochą, z córką tancerki, która w krwi miała już niepozbyty zaród lekkomyślności, i dlatego tylko nie umarł z sercem rozdartem, że go inna, szczęśliwsza śmierć spotkała na polu bitwy.

Jest to jakgdyby dziś napisana powieść tendencyjna na przestrożę dla naszych stosunków zubożałej szlachty i magnatów dorobkiewiczów. Pismo nasze tłómaczyło ją przed kilkunastu laty: historią nieszczęśliwą związków, zawiązywanych dla pieniędzy z jednej, dla nędznej pychy z drugiej strony.

Tendencyjną i także jak dla nas napisaną jest powieść, jedna z najpóźniejszych: „Dziewka dzierzawcy“, Bohaterką jest przesliczna postać kobieta, która z miłości rodzinnej pracuje jak dziewczka, dźwigając i od głodnej śmierci broniąc starego wuja i biedną ciotkę kalekę. Wiodło się do końca życie pańskie, przy niepańskiej fortunie: paliło się najlepsze cygara, trzymało się konie cugowe—żyło się wedle swego stanu i przyszła starość w nędzy, w upadku materialnym i moralnym, bo jest nim—jest upakarzającym upadkiem kłamliwe i śmieszne drapowanie się w pozory dostatku ze strony nieszczęsnego i do końca życia płochego starca. Że powieść to nie życie rzeczywiste: że tu można było dla mniej bolesnego rozwiązania wpro-

wadzić wypadek, któryby był *Deus ex machina*, więc rzecz kończy się szczęśliwie i wesoło, jak nie bywa w życiu. Gdyby to życie było snieniem idealnym!... Lecz nie... jest ono w następstwach swoich twardą i ciężką konsekwencją przyczyn pierwszych—nieuniknione to prawo rzeczywistości.

Na moglię tej, która dała nam tyle pięknych i szlachetnych, uszlachetniających fikcyj, złożymy wieniec dobrego wspomnienia, rzucimy kwiat wdzięczności.

M. Ilnicka

## FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

— No, to zajął, jeśli pan wolisz. Próżność nie jest wyłącznie naszą wadą, macie ją panowie w równej mierze, choć się do niej przyznać nie chcecie. Gdyby wam tak często dawano do zrozumienia, mówiono o tem wyraźnie, że się podobacie, jak się to nam zdarza, gdyby oświadczenia miłości spotykały was w tensam sposób, w jaki nas spotykają, kto wie, czy nie bylibyście próźniejszymi od kobiet. Nawet pan....

— Ja?...

— Przypuszczam, że nawet pan straciłbyś wiele ze swego katonizmu, gdyby kobieta oparta o pańskie ramię, jak ja w tej chwili, patrząc panu w oczy...

— Jak ja w tej chwili — wtrącił półgłosem Romuald.

— Zaczęła wyznawać panu z otwartością i śmiałością, cechującą was w podobnych sytuacjach, że pana kocha: czy nie uśmiechałby się pan z zadowoleniem, nie czuł się podrażnionym przyjemnie w swojej ambicji?... choćby pan nawet uczuć jej nie podzielał, byłbyś kontent z tego wyznania. Nieprawdaż?...

— Byłbym szczęśliwym, gdybym mógł być wzajemnym, ale bez wzajemności...

— Przerwałbyś jej miłosne oświadczenie?... odepchnął serce, któreby ci się oddawało samo? nie wierzę. Wy tylko od nas wymagacie takiego heroicznego zaparcia się, oile nie jesteście w tem najbliższej interessowani.

Zaczęła się śmiać wesoło.

— Nie umiem pani odpowiedzieć za siebie — rzekł Romuald — nie byłem, na szczęście, nigdy w tej sytuacji i, jak sędzę, nie będę nigdy.

— *Il ne faut jurer de rien.*

— Rzecz prosta, nie dopuszczę do niej, przewidując tę kłopotliwą ewentualność.

Odoniecka spojrzała na niego poważnie.

— A jednak — rzekła — nie mogłeś pan przeszkodzić, aby panu przed kilkoma dniami panna Ludwika w kwiatkach, związanych jej włosom, nie powiedziała tego, czego nie śmiały jej usta jeszcze wyszeptać... To dziewczę jest w panu zakochanem; mówmy otwarcie — odgadłam to, widzę, czuję i pan musiałeś sobie powiedzieć to samo oddawna.

— Ależ, pani! Nie bierzmy w rachubę pensyonarskich przywidzeń...

— O, to już nie pensyonarka, jak się panu wydaje—przerwała mu — w tej małej siedzi dojrzała nad podziw kobieta. Ja rozmawiałam z nią często w ostatnich dniach i przekonałam się, że jej główka starsza jest od serca, a serce od świeżej dziewczęcej twarzyczki.

— Dlaczego mi pani to mówisz? — zapytał szybko, przyciskając mimowoli ramieniem rękę

swjej towarzyski — dlaczego wracamy tak często do tego tematu?... on mi przykrość sprawia. Wszak pani musiałaś zauważyć, że unikam panny Ludwiki od chwili, gdy się zaczął domyślać pewnej skłonności jej do mnie. Za powrotem, ograniczę jeszcze bardziej mój stosunek z domem państwa Fiszbbaumów. Nie chcę oszukiwać, ani ludzi nikogo, nie mogę nic oddać wzamian za uczucie, które mnie niezasłużenie spotyka. Staram się odsunąć najłżejszy pozór, któryby pannie lub jej rodzicom dawał do myślenia cokolwiek... nie chcę tego, boję się. Byłbym z Brylantówki wyjechał natychmiast, gdyby nie...

— Gdyby nie co? — podchwyciła szybko i serce jej żywiej zabiło w piersi. Domyślała się, że tym powodem, który go tu zatrzymywał, była tylko ona sama, ona jedna i nikt inny; ale chciała usłyszeć to z jego własnych ust, nie zastanawiając się, jak niebezpieczną byłaby dalsza konsekwencja tego wyznania.

Czuła się dziwnie wzruszona tą myślą, szczęśliwa jakaś i zakłopotana zarazem. Pragnęła, aby jej powiedział, że bawi w Brylantówce tylko dla niej, bo go pociąga, bo go przytrzymuje na uwieży, bo go jakimś czarem zakłęła, i jednocześnie wdzięczną mu była za to, że nie dokończył przerywanych słów, że nie zauważył rumieńca, jakim się twarz jej oblała, ani drżenia ręki, opartej na jego ramieniu.

On zaś nie śmiał się odezwać, czuł, że nie powstrzyma cisnącej mu się na usta prawdy, która powinna była zostać jeszcze tajemnicą pomiędzy nimi i że, zakwapiwszy się we własne słowa, nie potrafił się jaśniej wytłómaczyć, tylko tym jednym, jedynym wyrazem: „kocham“, drżącym mu oddawna w sercu namiętne a dumne.

Zamilkli przeto oboje; ona tylko instynktownie, bezwiednie, przysunęła się bardziej ku niemu i zwiśla na jego ramieniu, jak bluszczyk u gałęzi drzewa. Czuł ją przy swoim boku tak blisko, że niemal uderzenia serca jej słyszał...

Równym krokiem schodzili teraz po pochyłości ku rzece, gdzie wiejskie dzieci obsiadły ich łódkę i na widok zbliżających się państwa przestraszone uciekać zaczęły.

Dziwna jakaś zmiana zaślała w obojgu od chwili, gdy się ich rozmowa urwała; zabrakło im dawnej swobody, śpieszno im było wracać jak najprędzej do ludzi, do świata, byle tylko nie przedłużać tego niebezpiecznego samnasam z sobą.

Zdawało się im, że jakaś niewidzialna sieć otoczyła jedno i drugie i jak dwa złowione ptaki zagarnia, zbliża ku sobie, coraz bardziej subtelnie niemi oplątuje...

Ten stan jakiegoś świadomego omdlewania, jakby po zażyciu usypiającego narkotyku, był dla Romualda i pani Zofii rozkosznym i niepokojącym zarazem.

— Wracajmy, wracajmy, już tak późno — nagliła, zajmując znowu swoje miejsce przy sterze, co tam sobie o nas pomysła!...

Lacki ujął za wiosła i łódź poszybowała w górę rzeki z powrotem.

Na niebie gasły blaski zachodu, opalowe chmurki traciły swą przejrzystość i świetne barwy; wyglądały jak plamy i kleksy na transparencie, po za którym zdmuchnięto jarzące świece.

Lekki wiatr wionął od brzegów. Panią Zofią wstrząsnął dreszcz nerwowy.

Płynęli, nie mówiąc nic do siebie; niekiedy Romuald składał wiosła na burtach i łódź zdawała się zatrzymywać w miejscu. Wtedy towarzyska jego, z jakimś błagalnym niemal spojrzeniem, wyciągała ku niemu ręce i prosiła:

— Płynmy, płynmy dalej... nie traćmy czasu... późno już. Czyś pan bardzo zmęczony?

— Nie—odpowiadał, jakby zbudzony ze snu, i wtedy białe rączki wyciągnięte ku sobie przyciskał do ust i, jakby nowych sił zaczerpnawszy z nich, chwytął za wiosła i łódź szybowała dalej.

— Dlaczego pan tak patrzysz na mnie? — spytała go raz po dłuższym milczeniu, czując, że wzrok jego wlepiony w nią oblewa ją rumieńcem, i ma jakąś dziwną magnetyczną siłę. Przypo-

niała sobie kiedyś słyszane od niego wyrazy, że „oczyma można całować...“ zdawało się jej teraz, jakby jego spojrzenia miały coś dotykającego w sobie. Nie wiedziała co z oczyma swojemi zrobić, instynktownie chciała uniknąć jego spojrzeń, odwracała głowę to w jedną, to w drugą stronę, ale te oczy same biegły znowu ku niemu, jak zaczarowane.

— Mówmy cokolwiek—prosiła się Romualda—Dlaczego pan tak umilkł nagle? czybyśmy wy-czerpali zupełnie temat do rozmowy?... no, pro-szę... to niegrzecznie z pańskiej strony. Takie milczenie ma w sobie coś denerwującego, — nie uważasz pan?...

Nie spuszczał z niej oczu, ale słowa nie prze-mówił, jakgdyby nie słyszał wcale jej głosu.

Ona zaś nie wiedziała, co było takiego w jego spojrzeniu, co ją magnetyzowało; czuła się tylko opętana temi spojrzeniami, zakłopotana, onie-smielona, jak nigdy, w życiu.

— Dlaczego on tak milczy uparcie?—powta-rzała sobie w myślach — dziwny człowiek!... Kocha mnie, a boi się wyznać to przede mną; czuję, że mnie kocha... jego oczy mi to mówią oddawna, choć usta zacięte milczą. Gdyby wiedział, gdy-by wiedział, co się w mojem sercu dzieje!...

Wzdrygnęła się i zadrżała w tej chwili; biała, rozpaloną rączkę opuściła mimowoli za łódkę i woda musnęła zimną falą końce jej palców. Po-zółkłe liście nenubarów lekko zadrżały, tracone niemi...

Ten zimny pocałunek rzeki oprzytomnił ją nieco.

W dali widać już było kiosk na wysepce i białą galeryjkę mostu, łączącego ją z brzegiem.

Odetchnęła swobodniej na widok przystani, na której odzyskać miała znowu swą równowagę.

Płynęli teraz środkiem parku, pomiędzy wałami, chroniącemi go od wylewu kapryśnej Liszki. Ocieniały je stare, gęsto zarosłe drzewa, pochylo-ne nad wodą i zadumane w ciszy wieczoru. Księ-życ karbował srebrem drobne fale, jakie po obu stronach łodzi wytwarzał ruch wiosel Romualda.

Pastusza ligawka daleko gdzieś na pastwisku trzema tonami odzywała się w monotonnej, ale smętnej jakiejś melodii.

Wiosłarz zręcznym ruchem skrzył łódkę i przybił lekko do stopni żelaznych, które prowa-dziły na wzgórek kioskiem uwieńczony.

— Jesteśmy—szepnął Romuald; był to pierw-szy wyraz, jaki od czasu opuszczenia cementarza przemówił do swej towarzyszki.

Przy wylądowaniu musiał jej podać obie ręce; i znowu mimowoli dłonie ich uściśniły się dłu-żej, goręcej, czulej, jakby przez nie przebiegł ów tajemniczy prąd od jednego serca do drugiego, który dotąd krążył między nimi w samych spoj-rzeniach.

— Nie spodziewałam się — rzekła pani Zofia pierwsza—aby taka przejażdżka mogła zmęczyć. Pan musisz być bardzo znużony wiosłowaniem, skoro ja, jako balast, czuję się sfatygowaną.

Starła się nadać swoim słowom zwyczajny ton konwersacyjny.

— Drugi raz nie odważę się z panem na taką wyprawę.

Głos jej drżał lekko i odbijał się nabrzmiałem echem o ściany kiosku, jak również kroki jej po mozaikowanej posadzce.

Stanął po drugiej stronie u wyjścia, gdzie o wąską platformę opierał się mostek, wiszący na jednym żelaznym słupie, wbitym w dno rzeki, zakręcającej w tem miejscu łukiem dość wy-giętym.

— Czy uważała pani, jak dowcipnie urządzo-ne jest to przejście z kiosku na brzeg?—spytał Romuald, chcąc widocznie rozmowę nakierować na temat obojętny.

— Dlaczego?

— Mostek ten jest zwodzonym.

— Słyszałam o tem.

— W tem miejscu, widzi pani, zaczepia się o hak; zdejmując kółko i spuszczać łańcuszek,

można, naturalnem prawem ciężkości, popchnąć cały mostek, który wykręci się na palu, jak na śrubie, i zawisnie wzdłuż rzeki, zamiast w po-przek.

— Jakto?... nie rozumiem.

— Rzecz bardzo prosta; proszę, weź pani w rękę koniec łańcucha, a ja odcepnię kółko... ot, tak... potem przyciągniemy go znowu do brzegu. Me-chanik, który to budował, zdobył się na pomysł bardzo oryginalny.

Mówiąc, jednocześnie podnosił końcem buta że-lazną kłamrę z haka, a mostek powoli odsuwał się zaczął sam od progu platformy, wykręcając się śrubowym przyrządem na palu, który go w środ-ku podtrzymywał. Nagle, uwolniony z uwięzi, szybkim skrzętem wyrwał się zpod nóg Romualda i Zofii i zawisł w powietrzu, ale w tejsamej chwili z obu końców dzwignęły ze zgrzytem że-laza i z ręki nieprzygotowanej pani Zofii szar-pnięty łańcuch wypadł do wody. Przestraszona, instynktownie coinęła się we drzwi kiosku z lek-kim okrzykiem i znalazła się w objęciu Romualda, który ją podtrzymał w tym nagłym ruchu, chroniąc od upadku.

— Co to się stało!—zawołała przerażona.

— Nic, nic... jesteśmy w samotrzasku.. odcię-ci od ładu—mówił—los nam zagroził sam drogę powrotu.

Chciała się z ramion jego wysunąć, ale te ra-miona otaczały ją teraz, jak dwa pierścienie i przytrzymywały przy jego wezbranej piersi.

Drżała jak listek na wietrze.. starała się zmy-sły zebrać, oprzytomnić, bronić się przeciw tej jakiejś potężnej sile, która korzystając z przy-padku, zaskoczyła ją zniemacka w objęciach kochanego i kochającego mężczyzny.

Nie wiedziała, co począć, czuła twarz jego przy swojej twarzy, czuła gorący oddech, który ją palił, jak żar i omdlewała w tym uścisku, przejmującym całą jej istotność niewysłowionem jakimś uczuciem rozkoszy i trwogi, szczęścia i niepewno-ści, rozradzania i zawstydzenia. Oczy jej błyszczały fosforycznym jakimś blaskiem, wpijał się w jej twarz swemi dwiema czarnemi źrenicami i znać było po nim, że walczy z jedną siłą, która go gwałtownie pociąga ku tej istocie ubóstwie-nej, promieniejącej wszystkimi czarami kobie-cości i drżącej w jego objęciu i z drugą, która go przytrzymuje w ślepym szale i każe uszano-wać kobietę ukochaną, bezbronną, którą mu przy-padek rzucił w ramiona.

Wiedział, że jest piękną, że ją kocha, że po-trzebuję tylko usta swe zbliżyć do jej ust, aby w tym pierwszym, gorącym, namiętym pocałun-ku ślubowały sobie ich serca miłość.

Księżyc bladą twarz Zofii oblewał swoim światłem i podrzeźbiał jej delikatne rysy srebrne-mi promieniami, które połyskiwały żywiej w bry-lantach jej koleczyków, w emalii drobnych zęb-ków, widocznych zpoza rozchylonych ust, i w dwóch grubych łzach, które zpod zamkniętych powiek wytoczyły się na pobludę jej lica.

Te łzy, jak posły, wybiegły naprzeciw prosić o łaskę i stanęły nad ustami kobiety, na straży; pocałunek jego musiałby je być wpięty w rozgnieść brutalnie....

I Romuald na widok tych łez oprzytomniał na-gle, szal zmysłów ustępować zaczął, kolana ugię-ły się pod nim mimowoli, zsunął się do jej nóg i klęcząc, szepnął głosem w wzburzonej piersi zła-manym:

— Przebac mi pani.... przebac mi.

Nie mogła słowa przemówić; głos uwiązał jej w gardle, serce tłukło się w łonie, jak ptak z cia-snej klatki pragnący się wydobyć na słońce, pa-trzała na klęczącego w pokutniczej postawie Ro-mualda i długą chwilę nie mogła się opamiętać.

Ręce jej opadły zlekka na jego ramiona, wresz-cie pochyliła się nad jego zwieszoną głową i do-tykając pierwsza drzącymi ustami jego czoła, szepnęła zwyciężona własnymi uczuciami:

— Przebaczam panu, bo mnie.... kochasz.

Z tym pocałunkiem dwie łzy spadły na czoło Romulda.

Schwycił jej ręce i tuląc głowę do jej kolan,

całował je długo, gorąco, jak cudowne relikwie. Zamiast odpowiedzi, pocałunki te były objawem wdzięczności za to, że odgadła tajemnicę jego serca; czuł się tak szczęśliwym, tak dumnym w tej chwili ze swej miłości.

Nie potrzebował pytać, czy jest równie kocha-nym, słowa pomiędzy dwoma rozumiejącemi się duszami były zbyt czyste.

Zofia, wyczerpana tą sceną, uwolniła się lekko z jego rąk i odeszła ku oknu, aby się oprzeć i zaczerpnąć chłodnego powietrza, potrzebowała otrzeźwienia. Snem jej się wydało wszystko, co było rzeczywistością tak bliską.

Przez gąszcz drzew w parku widać było świa-tła błyszczące w pałacu; przypomniały jej one, że tam opodal czeka na nią świat inny, do któ-rego powrócić trzeba i spotkać się ze spojrze-niami ludzi, co z ich nieobecności tak długiej rozmaite wnioski wyciągać będą, przed którymi trzeba udawać i kłamać, bo nie można ich wta-jemniczać w to, co zaszło; nie można i nie trze-ba.... Nie zrozumieliby, nie uwierzyli.

Ocknęła się, otarła oczy i siłą woli wróciła do równowagi. Nigdy przykrzejszym nie wydawał się jej konwenans światowy i jarzmo jego niewoli, jak w tej właśnie chwili.

— Wracajmy, wracajmy! — rzekła szybko do Romualda, który stał przed nią w pewnem odda-leniu, jak przed bóstwem, z czcią i uwielbieniem zarazem.

Proza życia wmieszała się w poetyczny urok ich sytuacji.

Przypomnieli sobie, że są odcięci od ładu, że ów niegodziwy mostek wymknął się z ręki Zofii, i że go trzeba przyciągnąć znowu w jakikolwiek sposób do kiosku.

Pozostawał jedyny środek: siaść w łódkę, pod-płynąć ku niemu i uchwycić łańcuch zatopiony jednym końcem w wodzie. Bez dłuższego namysłu Romuald zabrał się do wykonania tej pracy.

W kiosku została Zofia sama; dwie myśli wi-kląły się w jej głowie, dwa uczucia w sercu. Los mącił jej chwilę najgłębszego wrażenia w ży-ciu; zamiast wypowiadać się wzajemnie ze wszyst-kiego, co się w ich duszach nagle odezwało izdra-dziło, zamiast w tej najpiękniejszej, pełnej uroku chwili pierwszego wyznania miłości, trzeba było umilknąć, gwałt zadać sercu i ustom. On musiał wyławiać z wody marny łańcuch żelazny, ona pomagać mu do przyciągania kładki, po której ze świata marzeń wrócić mieli w świat pospolitej rzeczywistości.

Czas był największy potemu; w parku słyszeć się dały głosy i hukania zaniepokojonych państwa Fiszbaumów i ich gości. Rozpoznać można było łatwo nawoływania mężczyzn, coraz wyraźniej dochodziły urywki zmieszanej rozmowy.

— Co się z nimi stać ma? — powtarzał ban-kier a fistułowy głos Zajęckiego odzywał się raz po raz:

— Hop, hop!...

Jerzbicki biadał głośno:

— Jak Boga kocham, raki ostygną.... mówiłem żeby siadać do stołu; przecież ich ryby nie pozjad-ły.

Częstsze głosy kobiece szeptać musiały coś zło-śliwego ze sobą, bo z gąszcza dochodził od czasu do czasu śmiech baronowej i jej siostry.

— Pośpiesz się pan — nagliła pani Zofia, wy-chylona przeze drzwi kiosku do Romualda, usiłu-jącego na środku rzeki przyciępić łańcuch do łodzi, aby mu się drugi raz nie wymknął z rąk.

W tejsamej chwili na brzegu ukazało się kilka naraz postaci. Niezgrabną figurę bankiera i cien-kie kontury Zajęckiego rozpoznać można było wyraźnie w cieniu drzew.

— Patrzcie, patrzcie, *voilà!*—wołał Fiszbaum—macie tu naszych zbiegów. Panie Lacki, co pan tam robisz?

— Przyciągam most, jak pan widzisz — odpo-wiedział głos z łódki.

— A cóż to się stało?

— Wymknął się.

— Cha cha, cha!... ptaszki w klatce!...

Całe towarzystwo zebrało się nad wodą, zmieszane głosy, śmiechy, chaotyczna rozmowa napelnily powietrze. Zaczęto pytać z brzegu, odpowiadać z kiosku, tłómaczyć i doradzać; przygoda ubawiła wszystkich. Pani Zofia wdzięczna była losowi za to *intermezzo*, które pozwoliło jej i Romualdowi pokryć tymczasem zupełnie ślady przebytych wrażeń.

Wrócono do pałacu, gdzie zastawiony stół oczekiwał gości. Lampy w mlecznych kloszach i świece w chińskich lampionach oświecały całą werendę; panią Zofią zdawało się razić światło, zarówno jak rozmowa, którą na temat przystawki wieczornej prowadzono przy wieczerzy. Zdawało jej się, że wszystkie spójrzania zwracają się bezustannie ku niej i ku Romualdowi z jakąś badawczą ciekawością i posądzeniem. Unikała instynktownie oczu Romualda, siedzącego na drugim krańcu stołu, bała się zdradzić wzrokiem.

W towarzystwie brak było Ludwika; matka tłómaczyła ją, iż z powodu migreny usunęła się do swego pokoju, lecz kiedy po kolacji Romuald przechodził przez salon zaciemniony, zdawało mu się, że dostrzega jakąś postać wciśniętą w rogu małej kozetki u okna, z którego widok był na werendę. Ktoś siedział tu ukryty i widocznie przypatrywał się ztąd towarzystwu i przysłuchiwał rozmowie.

Nie wypadało mu podejść bliżej, spojrział tylko w przechodzie i wyszedł drugimi drzwiami.

Postać tajemnicza zerwała się w tej chwili z kozetki i jakby spłoszona wybiegła cicho na palcach przeze drzwi w przeciwną stronę.

Księżyc rzucił na nią smugę światła przez otwarte okna...

— Panna Ludwika?! — szepnął Romuald, którego szelest powstrzymał na progu przyległego pokoju.

Na posadze w salonie pozostała chusteczka mokra od łez, którą dziewczyna upuściła w pospiechu.

Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Zamiast od sprawozdania z działu muzycznego w zabawach letnich miesięcy, rozpoczniemy dzisiaj od uzalenia się przed naszymi czytelnikami, że do tej pory jeszcze coraz-to nowe obietnice dyrekcji teatrów zmuszały sprawozdawcę do bacznego śledzenia oile się one sprawdzają. Dawnemi laty pora tak zwana ogórkowa pozostawiana była na wyłączną własność młodym, pełnym nadziei debiutantom, którym puste krzesła i łoże dodawały otuchy w tych pełnych trwożliwej energii pierwszych krokach na scenie; w tym roku, wśród lata, dyrekcja teatrów samei znakomitościami nas obdarza, jakby jej tajemną myślą była chęć urobienia Warszawy na wzór Londynu, gdzie modny sezon opery włoskiej w miesiącu Maju dopiero się rozpoczyna. Zapomniała jednak dyrekcja, że w Londynie, dawno już kanalizacja jest zaprowadzoną, my zaś dopiero w przyszłości będziemy mogli odważyć się na przepędzenie lata w Warszawie. Czyż więc nie szkoda tego zachodu i kosztów, które zawodzą i chybają cel, czyż nie szkoda, że w zimie, kiedy nie było co słuchać, dyrekcja nie postarała się chociażby o tychczasowych panów Coppola, Aramburo, Ercolani, panią Angeloni etc. etc. Próżne żale; stało się, teraz musimy choć treściwie scharakteryzować wyżej wymienionych śpiewaków, aby ci, którzy ich nie słyszeli mogli dowiedzieć się, jaka strata ich spotkała. Pan Coppola, tenor, to śpiewak przyszłości; obecnie głos niewielki, scenicznej rutyny ma również niewiele, to tylko, że młody, a młodym wiele się przebacza, no, i przecież zresztą publiczność była zawiadomioną ile też dziennie ów

śpiewak pobierał. Co do pana Aramburo, to nie wiemy dokładnie, ile on dyrekcją teatrów kosztuje, więc według tej miary na wzór innych scen nie możemy go sądzić; to tylko pewna, że jeśli p. Coppola był śpiewakiem przyszłości, ten śmiało może się nazwać śpiewakiem przeszłości.

Biedna ta Warszawa: po większej części dla niej nigdy w porę nie przychodzą na świat śpiewacy, ale albo zawcześnie, albo zapóźno; widocznie nie leży na wielkim trakcie artystycznym, na którym snują się gwiazdy pierwszej wielkości. Pan Aramburo to mistrz szermierki głosowej; pomimo, że głos jego jest już sterany w pracy scenicznej, jeszcze zadziwia często swą siłą i giętkością. Jednak ta ciągła walka sztuki z naturą nuży śpiewaka, zdarza się też, że musi odpocząć, zbywając pobieżnie swą partya. Wybór oper przyczyniał się również do niejednorodnych wrażeń, które powinnyby były być zawsze zadawalniające. P. Aramburo szczególnie dobrze odpowiada zadaniu w operach dramatycznych, gdzie wybuchy ognistej usposobienia, aczkolwiek trochę sztuczne, mogą mieć odpowiednie zastosowanie.

Pani Teresa Angeloni, sopranistka, posiadająca oprócz pięknego głosu wiele temperamentu artystycznego, zasługuje najwięcej na wyróżnienie w tej trójcy obcych śpiewaków. Jest to śpiewaczka rutynowana, znakomicie obeznana ze sceną, władająca dobrze głosem, przejmująca się rolą i rozumnie ją pojmująca, tak, że jej kreacje mają wiele prawdy i wdzięku. Powtórzmy więc znowu: szkoda, że jej występy w tak nieodpowiedniej porze nastąpiły.

Pana Ercolani nie znamy jeszcze; zostawimy więc sobie na później możność powiedzenia kilku słów o tym podobno cenionym zagranicą śpiewaku basisie.

Inne źródła rozrywek muzycznych wyschły zupełnie na lato. Ostatnie objawy swego istnienia dały Towarzystwo Muzyczne i Lutnia, urządzając wieczór muzyczny w uroczej miejscowości zwanej Frascati; powiodło się im świetnie. Czy to, że cel zbierania funduszu na budowę gmachu dla Towarzystwa Muzycznego jest sympatycznym dla publiczności, czy też, że koncert na otwartym powietrzu, w pięknym ogrodzie, zachęcił do wycieczki wieczornej, dość, że słuchaczy było bardzo wielu; co do programu koncertu, składał się on wyłącznie z dzieł miejscowych kompozytorów; wykonanie niektórych numerów było bardzo dobre, jako to: uwertury „Tatry“ Żeleńskiego i sonetu krymskiego Moniuszki. „Lutnia“ nader poprawnie wykonała kilka ulotnych utworów, które miłe wrażenie zrobiły swą niepretensjonalnością i swojskością.

Cóż więcej powiemy? Oto, że rok szkolny, kończąc się, dał sposobność instytucjom szkolnym muzycznym do wystąpienia z popisami swych uczniów. Sprawozdania pism codziennych obszernie rozwodziły się w swoim czasie o rezultatach popisów konserwatorium i szkoły muzycznej Instytutu Ociemniałych. Ponieważ jednak, jak to zwykle u nas bywa, wielce się różniły w zdaniu, przeto, chcąc ułatwić naszym czytelnikom utworzenie sobie prawdziwego pojęcia o stanowisku i działalności tych instytucji, radzimy im, aby zebrawszy wszystkie oceny pism naszych, wzięli przeciętną — z dodaniem szczypty wyrozumiałości na niekorzystne warunki istnienia tych instytucji — a będą mieli zdanie najzupełniej prawdziwe.

Z dzieł nowych, które się ukazały, czy-to na scenie, czy w druku, nadmienimy o muzyce do obrazu ludowego „Dziewczę z chaty za wsią“ Zygmunta Noskowskiego, który, pomimo pospiesznej pracy przy tego rodzaju dziełach, zawsze potrafi zainteresować słuchaczy błyskami prawdziwego talentu i nauki. Prócz tego, z ostatnich dzieł jego widzieliśmy opus 20 „Aquarelles“ sześć sztuk średniej trudności, bardzo zgrabnie opracowanych, oraz op. 22 „Dumka, Tropak i Polonez“ (z Dziewczęcia z chaty za wsią, w których szczególnie „Polonez“ jest wielce charakterystycznym, pełnym poezji i wdzięku.

Juljusz Staltler.

## Ze wspomnień kasztelanowej.

przez

Wielisława.

(Dokończenie).

— Accordé — odrzekł sucho Davoust — ale tylko dla pani; lecz nie mówmy o tem więcej, bo pani — dodał z galanterią — gotowabys całkiem go już od kary wyprosić.

Sprawa więc nie była jeszcze przegrana. Pożegnawszy marszałka, pojechałam do Talleyranda.

Do tego byłam śmielszą, bywał często u nas wieczorem, nieraz po parę godzin bawił, chwalił mnie, że tylko u mnie z całej Warszawy jednej, można się było spotkać z herbata podaną poangielsku i z konwersacją paryzką, za którą tęsknił. Czulałam, że dobrze wie, jak dalece ja znowu rozkoszuję się jego niewyczerpanym dowcipem i wykwintnie salonowem, pełnem szacunku dla kobiety, obejściem.

Na nieszczęście, zastałam go przy obiedzie, na którym nie wiem ilu przyjmował książąt, diuków dyplomatów. Wsunawszy przecież jednego dukackiego kamerdynerowi, prosiłam go, aby mnie do ubocznego pokoju przy sali jadalnej wpuścił, a zaraz po obiedzie swemu panu o mojem przybyciu zameldował.

Obiad trwał długo, lecz zaledwo się skończył, usłyszałam stuk laski kulawego Talleyranda, który się zbliżył i zaraz do gabinetu swego mnie wprowadził.

— Doskonały temat — rzekł, śmiejąc się — dla Voltaire'a. Ja ex-ksiądz biskup, po wybornym obiedzie, przy którym piło się dosyć, zapraszam na sekretną audyencyą czarującą wdziękami damę do mojego gabinetu, bo domyślam się — dodał — że coś ważnego a tajemniczego usłyszę.

Powiedziałam mu po'co przychodzę; Książę Benewentu brwi geniuszowe zmarszczył i rzekł:

— Zrobię zawsze co mogę, a co pani każesz, więc upatrzę dogodną chwilę, aby pomówić z Davoustem, Berthierem, Durociem, zanim przedstawię prośbę babki officera cesarzowi. Codzień jeżdżę z portfelem do niego, bywamy godzinami z sobą. Nic nie byłoby łatwiejszego. Tylko wypadło to w fatalnej chwili. Davoust w największych laskach i zaufaniu u cesarza, a sam słyszałem, jak przy obiedzie narzekał, że dawny duch sejmikowy przeniósł się do młodocianej armii polskiej, że nie chcą tam znać subordynacji i trzeba surowych przykładów, aby te samowolę wybić z głowy dawnych republikanów, a tego właśnie republikańskiego nastroju Polaków Bonaparte najbardziej nienawidzi. Zrobię wszystko, co można, ale zobaczy pani, że ten Davoust nieugiętością swoją wszystko nam zepsuje.

— Obiecał mi przedstawić skazanego do ukaszkawienia — przerwałam

— A to co innego: wymogłaś pani wiele na tym Robespierze w szlifach, amatorze wyroków śmierci. Zobaczymy — konkludował Talleyrand, ja zaś, przeprosiwszy go za moją niedelikatość, żem go od gości oderwała, wróciłam do domu, a już o tyle uspokojona przynajmniej, że co mogłam, dla ratowania nieszczęśliwego zrobiłam.

— Nie macie, panowie dzisiejsi — ciągnęła dalej kasztelanowa — wyobrażenia, co tu były u nas wówczas za drogi i środki komunikacyjne. Oczekiwana z takim upragnieniem pani Oborska, lubo tylko mil dwadzieści cztery od Warszawy mieszkająca, w dniu wydania wyroku śmierci na wnuka, jeszcze nie nadjechała. Na domiar złego, sztafeta moja moja w domu jej nie zastała, bo najspokojniej w świecie, niczego się nie spodziewając, staruszka na święta w Lubelskie do Dłuskich, rodziny swej, pojechała.

Właściwie bez niej kroku w tej sprawie nie można było postąpić. Chciałam wprawdzie od siebie podać t. z. „placet“, prośbę do cesarza o ulaskawienie, i sama z nią jechać, ale mąż mój mi tego zabronił, choćby ze względu na jego stanowisko urzędowe jako prefekta Departamentu Warszawskiego, a przede wszystkim, że na nie-by się to nie zdało, mnie zaś naraziłoby tylko na rodzaj śmieszności, gdyż do takiego wstawiennictwa żadnego nie miałam prawa.

Dopiero coś na trzy dni przed fatalną chwilą wykonania wyroku, sześciokonna staroświecka landara stanęła przed moim mieszkaniem, wioząc na wół martwą, zmizerowaną przez drogę, wiekiem, i nieszczęściem zgnębiającą, kasztelanową. Trzebaż było staruszcze dać odpocząć, a tu ani minuty czasu do stracenia nie było.

Sama jedna udałam się tego wieczora powtórnie do Talleyranda, z przygotowaną prośbą o audiencję u cesarza. Uprzejmy Książę Benewentu zrobił jeszcze więcej, bo napisał własnoręczny list do Napoleona, dosyć długi, w którym co było po dziś dzień nie wiem; oddał go na moje ręce, doradzając, że najlepiej będzie, abyśmy się starały zyskać posłuchanie zaraz po wyjściu cesarza z koncertu artystów włoskich, wydawanego codziennie po obiedzie, przy czarnej kawie; bo wtedy — dodał uśmiechając się — lew jest najswobodniejszy i najprzystępniejszy...

Ponieważ znałam dobrze Constanta, pierwszego kamerdynera cesarskiego, a nawet miałam sposobność prostym babskiem lekarstwem uwolnić go od uporczywej febry, byłam więc pewną swego, że nam ułatwi widzenie w niezwyklej porze; audiencje, zwykle odbywały się rano przed paradą. Nie mogąc zostawić w tym stanie sił i zdrowia samej staruszki, niebardzo wymownej, szczególniej pofrancuzku, postanowiłam jej towarzyszyć, lubo mąż mi to odradzał, uważając za bezpożyteczne i niewłaściwe, przekonany, że więcej wpływu wyrze niema jej rozpaczliwy i modlitwa, niż moja najpiękniejsza francuzka wymowa. Może i miał rację, ale uparłam się, pojechałam i dobrze zrobiłam.

Gdyśmy na zamek przybyły, pocziwy Constant zawałał się pomóż nam w widzeniu się z cesarzem...

Naraz otwierają się drzwi, wchodzi wielki marszałek pałacu Duroc; nie poznawszy mnie, z powodu ciemności przejścia, w którym siedzieliśmy, dosyć szorstko woła:— A to co, po co? na co o tej porze? Panie zechcą wrócić do domu. Cesarz w tych godzinach chce być swobodnym.

Pani Oborska, zostawiona samej sobie, niezadowolnie byłaby się tego wyproszenia, mało grzecznego, wylekła mnie przyszedł concept do głowy; podnosząc trzymany list, zawołałam:

— Mam sekretny list od Księcia Benewentu, kazano mi go w ręce samego cesarza oddać.

— A to co innego — rzekł Duroc — pójdę sam zameldować panie — a gdy po chwili wrócił, oświadczając, że wejść możemy, poznawszy mnie, jako dobrą znajomą, zaczął najmocniej przeproszać, poczem skinął na mameluka Rustema, aby nam podwoje gabinetu otworzył.

Zastaliśmy Napoleona, siedzącego w tym czworobocznym saloniku z oknami wychodzącymi na Wisłę, który za Stanisława Augusta zwany był zwierciadlanym, albo gabinetem piękności, bo same ich portrety, w pomieszczeniu z lustrami, jego ściany zdobiły. Otoczony był stosem papierów, ksiąg i map, poprzciskanych tabakierkami, z których coraz-to czerpał. Powitał mnie, jako znajomą już, skinieniem głowy, bystro popatrzył na staruszkę i zaraz rękę po prośbę i list wyciągnął, wskazując krzesła. W czasie czytania zauważyłam, że kilka razy czoło zmarszczył i ramionami wzruszył. Nie dobrze to wróżyło o powodzeniu zabiegów naszych. Nakoniec powstał, przeszedł po sali i tym, pełnym dźwięku a decydującym głosem swoim, rzekł:

— Nie mogę użyć służącego mi prawa łaski. Potrzeba przykładu; chciałem podnieść uczucie honoru w nowej armii księżstwa, a panowie oficerowie chcą żołnierza traktować podawnemu, na sposób pruski: ja tego nie zniosę.

— Najjaśniejszy panie — odrzekłam ze śmiałością, do jakiejbym się przedtem nigdy nie ośmieliła — czułam, że tu idzie o życie ludzkie — Ponad wszystkie te najsluszniejsze ludzkie względy wzbija się przymiot Boży, wspaniałomyślności i miłosierdzia. Odmaczają się nim wielkie umysły, geniusze świata.

— Pani — przerwał mi cesarz — jak kobieta chciałaś we wszystkim się rządzić sercem, i masz rację: kobieta bez serca, to coś gorszego od mężczyzny bez głowy; ale w polityce to nie daleko prowadzi.

— Najjaśniejszy panie — zawołam, wskazując na ledwo żywą p. Oborską — wyrok ten dwie głowy zgładzi, padając na jedną niewinną.

— Alboż to pani nie wiesz? — przerwał cesarz — ile to pada niewinnych? Patrz pani — mówił stanowiący wprost okna, ręką wskazując za Wisłę, gdzie w dali szarzały baraki obozu. — Tam takich niewinnych stoi tysiące, a może dziś jutro pójdą ginąć, bo ginąć trzeba. Twarde są bytu naszego warunki. Choćbym chciał darować życie officerowi, za którym się panie wstawiacie, nie mogę.

Tu lekko się sklonił i dał nam znak do odejścia.

Nie pozostawało nam też nic innego do zrobienia. Po powrocie do domu, zajęłam się jedynie tem, czego wymagało położenie rzeczy. Napisałam więc list do kommandanta placu, generała Lalsalle, aby wydał p. Oborskiej pozwolenie na odwiezanie skazanego w każdej dnia porze, bo z osobą w tym wieku, nie można było wiedzieć, kiedy do tego siły mieć będzie; o to samo prosiłam dla spowiednika, którego zamówiłam u gwardyana Kapucynów; przytem upraszałam, aby mnie o dniu i godzinie egzekucji powiadomić raczył, jak tylko coś postanowionem zostanie.

Wieczorem otrzymałam od kommandanta bilecik w którym pisał, że cesarz prośbę o ulaskawienie odrzucił, a egzekucja niechybnie nastąpi pojutrze, o jedenastej rano, na Saskim Placu, z ceremonią zwykłą, czyli defiladą całego garnizonu.

Zataiłam tę smutną wiadomość przed staruszką. Niechaj chociaż noc ma bez jadowitej troski.

Siedzieliśmy obie w salonie, w niewesołym, zalistym, usposobieniu. Nagle wszedł służący, niosąc na tacy ogromnych ministeryalnych rozmiarów depeszę. Myślałam, że to do męża, tymczasem wycytuję, że do mnie. Od kogo? — pytam służącego.

— To przyniósł kurjer wielkiego szambelana. Taki tytuł między innymi nosił Talleyrand.

Rozłamuję pięczęć i czytam — te słów tylko kilka:

„Radbym z panią jaknajprędzej się rozmówić.“

Było już dobrze po dziesiątej wieczorem, ale wiedziałam, że Talleyrand przed drugą się nie kładzie, a gra pewno w ulubionego wista. Czułam, że coś ważnego zaszło, lecz co? nie mogłam zrozumieć, i po krótkim namyśle, dla pośpiechu kazałam zawołać fiakra i pojechałam. Dopiero w drodze zaczęłam rozmyślać, jak mnie mąż wyłaje za ten nierozsadek, i będzie miał słuszną rację. Sama w nocy, fiakrem, — jakby to wyglądało, gdyby kto zobaczył! a ludzie są tak złośliwi podejrzliwi...

U Talleyranda wpuszczono mnie zaraz do jego gabinetu i jednocześnie, taki był widać rozkaz, dano mu znać o moim przybyciu, za chwilę nadzwał, zaczął od przeproszenia, że mnie fatygował. — Długo mówić z panią nie będę, bo nie mogę; mam na partyi kilku dostojnych gości. Ale w tej chwili przywieziono pożyśną depeszę z teatru wojny, cesarz w wybornym humorze, jutro Królowej Saskiej imieniny pojedzie jej winszować; zaraz o pani pomyślałem: czyby przez królową o ulaskawienie Oborskiego nie prosić.

„Mądrej głowie, dość dwie słowie.“

Bardzo byłam sobie rada, że nie zważając na światowe konwenanse, pojechałam do Księcia Benewentu: w takich okolicznościach pół godziny czasu wiele znaczy. Miałam całą noc przed sobą do obmyślenia działań; pocieszywszy starusz-

kę tym chociaż promykiem słabych nadziei, prawie, że bezsennie noc spędziłam.

Wiedziałam dobrze, że doskonale u dworu saskiego był położony nowy minister sprawiedliwości hr. Łubiński: to też, nie mówiąc mężowi, jakby do spowiedzi się ubrawszy, już o ósmej rano byłam u hrabiego w gabinecie, aby zasięgnąć jego rady.

Minister, jak zawsze, zarzucony nawałem pracy, zdziwiony, przyjął mnie dosyć szorstko; wysłuchawszy, nawet od pójścia do królowej odmawiał, zapewniając, że już lista żądań do Napoleona z okazji imienin musi być ostatecznie zamknięta. Nie zważając na to, wybadałam tylko że królowa może za godzinę najdalej uda się, jak zwykle, codziennie na piechotę, do kościoła, a po śniadaniu będzie ubierać się, aby być gotową na przyjęcie Napoleona, którego spodziewają się tam prosto z parady.

Od Łubińskiego pośpieszyłam do domu, bo i czasu już wiele mi nie zostało.

Tam nowe nieszczęście. Moja kasztelanowa, nie uprzedzona przezemnie, aby pozostać w domu, póki nie wrócę, niecierpliwa coprędzej oglądać wnuka, sama się wybrała do niego, wysłuchawszy zamówionej wotywy u Augustyanów. Trzeba było ją odszukać, sprowadzić na audiencję do królowej, a nam się ogarnąć jakkolwiek, co mimo pośpiechu tyle nam zabrało czasu, żeśmy trafiły już na chwilę, gdy się królowa zaczęła ubierać.

Jak na złość, żadna ze znajomych mi Polek, jak Bleszyńska, Brezowa, nie były tego dnia na służbie; jakaś tylko arcyważna bezzębna niemkini przyjęła nas, stanowczo oświadczając, że królowa nas tego dnia nie przyjmie, bo się odwiezdzin cesarza spodziewa lada chwila. Że zaś tyle umiała pofrancuzku, ile ja poniemiecku, jakoś nie mogła zrozumieć, że nam właśnie o to chodzi, aby przed Napoleonem uzyskać audiencję. Uporne tylko: „Nein! Nein! impossible“ wychodziło z jej zaciętych ust.

Wtem, gdy tak z tą ochmistrzynią certujemy się doostatka, otworzyły się drzwi bocznej komnaty i już do spodziewanej wizyty wystrojona weszła księżniczka Augusta t. z. „Infantka Polska“; przezywano ją także Anną Jagellonką, gdyż niemłoda i neurodzawa przez kombinacje polityczne miano wydać za mąż, za naszego Antinousa, za bożyszcze chwili, księcia Józefa.

Doprowadzona do rozpaczki, na myśl, iż możemy przy samym brzegu utonąć, jeśli się z królową nie zobaczymy, odważyłam się ja pierwsza szturm przypuścić; oddawszy dyg dworski infantce, zatrzymałam, przemówiłam do niej słów kilka, że nagłość położenia, gdyż idzie o życie człowieka, a szczególnie rozgłos cnót i dobroci dla nas, całej familii królewskiej saskiej ośmiela mnie do tego kroku.

Księżniczka Augusta wysłuchała mnie z powagą monarchini, spoglądając po nas chłodno a dumnie, ale prośbę odebrała i weszła do gabinetu matki, słowa do nas nie rzekłszy: widocznie nie było jej przyjemnem to złamanie etykiety, tej drugiej religii dworów. Po chwili jednak drzwi od gabinetu się otworzyły, wyszła do nas jakaś frejlina, i oświadczyła, że jej królewska mość raczyła się podjąć przedstawienia prośby.

Odetchnęłam, zrobiłyśmy, co było można; resztę polecając Boskiej pieczy, odjechałyśmy do domu. Pośpiech był koniecznym; w pół godziny później, na nie-by się wszystko nie było zdało, bo właśnie już na rogu ulicy stangret przystanął oznajmiając nam, że cesarz, z całym sztabem jadący konno, nadeiiga, że przejechać niepodobna i istotnie ledwośmy się bokiem przemknąć mogły przez zatrzymujących powóz żandarmów i wojska rozstawione na ulicy.

Cały dzień pozostały przeszedł w śmiertelnej trwodze i oczekiwaniu. Obawa, że Królowa Saska mogła zapomnieć prosić, albo, że Napoleon mógł się jej wymówić, nie dała się odpędzić. Do wieczora nie miałyśmy żadnej wiadomości, a pani Oborska, odwiedzając wnuka, otrzymała upomnienie od officera dowodzącego na odwachu, aby się z nim pożegnała, bo jutro oprócz spowiednika, nikogo do niego nie wpuści. Szczęśliwie, że to

upomnienie nie zabiło biednej kobiety; ale od chwili pożegnania, zapadła w senność, z której na to tylko wychodziła, aby głęboko westchnąć od czasu do czasu i swoje pacierze zaczynać wciąż dalej. W życiu nie zapomnę tych przykrych chwil, któreśmy tak same spędzały, bo dopiero coś już po dziewiątej zajechała do nas pani Zaluska, dla bólu zęba wcześniej wracająca z balu w zamku, i powiedziała nam, że wie od pani Moszyńskiej, jako królowa nie zapomniała danej nam obietnicy. Gdy Napoleon, wieszając jej, rzekł, że radby się w tym dniu czem solenizantce przysłużyć, mając zapewne na myśli, jaki apanaż dla infantki Augusty, królowa poprosiła o darowanie życia Oborskiemu. Cesarz się nie bronił; dał od razu swą łaskę.

Otucha więc do serc naszych wróciła, tembardziej, że i od pocziwego naszego przyjaciela domu, de Serra, rezydenta francuzkiego przy Księciu Warszawskim, a królu Saskim, odebrałam bilecik krótki, wieszający nam uratowania Oborskiego. Davoust wprawdzie musiał być zły, że przez babskie intrygi, nie mógł skorzystać z okazji do dania wszystkim polskim officerom zbawionego przykładu; ale Napoleon był przejednany, łaska jego niewątpliwa. Wysłałam natychmiast kamerdynera na odwach, aby uprzedzić skazanego. Lecz nie skończyły się jeszcze niepokoje. Nazajutrz czekałyśmy do dziewiątej, a uwolnionego między nami nie było. Posłałam więc się dowiedzieć, co to znaczy; służący, powróciwszy, zapewnił, że na odwachu nic o zwolnieniu nie wiedzą, a nawet już rozdano żołnierzom kommandorowanym do rozstrzelania ostre ładunki.

Wiadomości tej nie komunikowałam starszemu, bo i na co? O złem zawsze najlepiej dowiedzieć się najpóźniej; ale trudno wypowiedzieć, co się ze mną działo. Wierzyłam, że nic ułaskawienia nie zmieni, lecz mogły zajść jakie fatalne opóźnienia, pomyłki; mógł jaki pisarz się upić, jaki żandarm spaść z konia, lub też złamać nogę. Tyśiące rzeczy przechodziło mi przez głowę, ani mogłam jeść śniadania, ani usiedzieć na miejscu. Fatalna godzina jedenasta, o której zwykle—wiedziałam to—przed paradą rozstrzeliwano, stała mi wciąż na myśli; aby wyjść raz z tego nieznośnego położenia, jak stałam, siadłam do fiakra, i pojechałam do kommandatury.

Generał Lasalle wyszedł na przeciwko mnie, ale zaraz mi powiedział, że, jakkolwiek słyszał na zamku, iż Oborski ułaskawiony, nic urzędownie o tem do tej chwili nie wie.

— Więc generał nie wykona wyroku? — gorączkowo pytałam.

— Przeciwnie, wykonam go o oznaczonej minucie, jeśli ułaskawienie nie nadejdzie; inaczej jącym mógł być za to rozstrzelanym.

— Może się spóźnić, zajść pomyłka—wołałam — Opóźniać do ostatka tak ważne rzeczy!

— To już nie z mojej winy — odrzekł generał.

— Ale generał mógłby posłać do zamku do wiedzieć się...

— Takie mieszanie się nie do swoich rzeczy surowo jest zabronione; cesarz mógł zmienić przez noc zdanie i odwołać ułaskawienie.

— To niepodobna! — wołałam — dał słowo, jeszcze komu! królowej...

— Wszystko być może—odpowiedział flegmatycznie Lasalle, a spoglądając na zegarek dodał:—I tak też pewno będzie; bo oto już na plac jechać mi wypada.

Wtem jakiś oddział wojska przechodzący uderzył w bębny; zadrżałam; pewno go już prowadzą—rzekłam, czując się blisko zemdlenia.

— Zapewne—odpowiedział generał, przypasując szpadę.

Padłam na kanapę, nie czując w sobie mocy, gdy nagle drzwi się otwarły z łoskotem i wszedł ordynansowy cesarski żandarm, w ogromnym szysaku, i podał generałowi depeszę.

— Oborski wolny! — zawołał Lasalle po rozłamaniu olbrzymiej pieczęci, ale dla przykładu z innymi skazanymi stanął do wysłuchania wyroku na placu stracenia.

Po usłyszeniu tego pierwszą moją myślą było, jakim bądź sposobem dać znać o tem p. Albrechtowi, aby czasem nie okazał trwogi; lecz jak to było zrobić? Już ruszyć kareta z dziedzińca nie mogłam dla przechodzącego wciąż wojska i nagromadzonej publiczności: stanęłam więc, ile można, najbliżej wśród tłumu, oczekując nadejścia skazanych; prowadzono ich coś sześciu, między nimi szedł, ale z gęstą miną, Oborski, pokręcając wąsika. Chcąc go utrzymać w tej pewności zaczęłam kiwać głową na niego, aby się nie bał, wywijając, jak mogłam najwyżej, białą chustką; jedni mnie mieli za wariatkę, inni robili matką skazanego. Nic mnie to nie obchodziło: poznałam mnie i odskoczył się, ruszyłam z innymi na plac egzekucyjny, który takim sposobem pierwszy raz w życiu zobaczyłam.

W kwadrans później wiozłam ocalonego, lubo zdegradowanego na prostego żołnierza, babce. Nie na wiele się zdały te wszystkie moje zabiegi, bo w kilka tygodni potem Oborski śmiercią walecznych ginął w bitwie jakiejś, bodaj czy nie pod Eylau, a kasztelanowa na wieść o tym skonie, w tydzień później nagle zgasła.

## PODRÓŻE.

### HAITI,

przez

G. de Molinari.

Autor opisu robót w Kanale Panamskim, który zamieściliśmy w N 13 *Bluszczu* z r. b., wracając do Europy przepędził pewien czas w Haiti i w nader zajmujący sposób skreślił wrażenia podróży, których część tutaj przytaczamy.

Z Wysp Antylskich San Domingo jest, po Kubie, największa. Ma około 76,000 kilometrów powierzchni, jest zatem dwa i pół raza większą od Belgii.

Rozdzielona jest między dwa rządy: Rzeczpospolitą Dominikańską, która zajmuje przeszło  $\frac{2}{3}$  wyspy z 300,000 mieszkańcami, przeważnie pochodzenia hiszpańskiego; trzecia zaś część, bardzo szczerze uposażona przez naturę, nazywa się Haiti i jest zamieszkałą przez 600,000 mieszkańców, z których  $\frac{9}{10}$  są to Afrykanie a reszta, stanowi mieszaninę rasy białej z czarną. Wszyscy mówią pofrancuzku, rządzą się francuzkim kodexem i posiadają swobodną konstytucyą, której prawa noszą dewizę: wolność, równość, braterstwo. Moneta jest u nich podobną do francuzkiej, przeważnie brzęcząca; zajmują się uprawą kawy, bawełny, kakao i cukru.

Sympatya dla Francyi jest tu tak wielką, że pobyt dla Niemców jest niemożliwym.

Port-au-Prince, stolica i siedlisko Rządu Haitijskiego jest miastem posiadającym około 35,000 mieszkańców. Zdaleka wygląd miasta przedstawia się, skutkiem różnobarwności domów, bardzo obiecująco; lecz za zbliżeniem się, wszelka illuzya znika bardzo prędko. „Brzeg morza,“ na którym znaczniejsze zakłady przemysłowe i handlowe mają swe siedlisko, pokryty jest ruinami; są to szczątki gmachów zniszczonych przez rewolucyą. Wnętrze miasta nie jest w wiele większym porządku; ani jeden gmach publiczny nie ocalał. Senat, Izba, ministerya—zmuszone były szukać pomieszczenia tymczasowego w zabudowaniach drewnianych, czekając, aż nadwątłone siły finansowe Haiti się pokrzepią.

Port-au-Prince posiada dorożki wcale przyzwoite—są to leciutkie amerykany, kurs kosztuje franka—i, o dziwo, sieć tramwajową, biegnącą od

„brzegu morskiego“ na Pole Marsowe. Wiele bardzo osób jeździ konno, co przypisać należy niedobrej drodze kołowej na ulicach, z których tylko dwie są przyzwoicie utrzymane. Wiejskie kobiety udają się na targ na małych osiołkach, z przytroczonymi produktami, inne pieszo, dźwigając wielkie kosze z jarzynami i owocami na głowach. Po największej części są to kobiety zdrowe, silnie zbudowane, lecz braknie im wdzięku i szyku, jaki posiadają ich siostry: kreolki z Martyniki. Ubiierają się białe i takież czepek noszą na głowie, na ramionach zwykle zarzucony szal, co sprawia, że wyglądają, jakby były w żałobie. Okrycie głowy stanowi poprostu biała chustka związana na karku. W wyższych klasach kobiety najskrupulatniej ubierają się według mody francuzkiej. Najbogatsze z nich sprowadzają swe stroje z Paryża.

Przez lat blisko czterdzieści, aż do roku 1883, Rzeczpospolita Haitijska była ciągle niepokojoną przez rozruchy polityczne i rewolucye, które postaram się tu opisać, lecz upraszam o pozwolenie cofnięcia się w tył o kilka lat.

Po krwawym peryodzie wyswobodzenia się i stworzenia państwa konstytucyjnego i niezależnego Haiti posiadało przez lat 25 t. j. od 1818 do 1843 jednego prezydenta w osobie pana Boyer i przez przeciąg tego czasu, cieszyło się zupełnym pokojem. Jakkolwiek Boyer zobowiązał się starym koloniom San-Domingo znaczną kontrybucyą, finanse rzeczypospolitej były w kwitnym stanie, a skarb posiadał kapitał rezerwowy w summie 5 milionów franków. Wybuchło powstanie, i Boyer musiał ustąpić, po nim przez lat 6 rządy sprawował Soulouque, a dalej Gefrard, Salnave, Domingue, Boisrond, Canal, którzy doświadczyli podobnego losu. Spiskowcy, po największej części młodzi ludzie, którzy pokończyli szkoły w Paryżu, należeli do najlepszych rodzin, a ich przywódca Boyer-Bazelais był pierwszorzędnym politykiem. Skutkiem owych ciągłych zmian rządu, i, co za sobą pociąga, nieporządków—stan finansowy rzeczypospolitej stawał się bezustanku coraz bardziej opłakanym.

Do takiego stanu niemało przyczyniała się okoliczność, że Haiti jest zbiegowiskiem wszelkiego rodzaju wyrzutków społeczeństwa, którzy tu przybywają zarówno z Wysp Antylskich, ze Stanów Zjednoczonych, jak i z Europy.

Obecny prezydent rzeczypospolitej, generał Salomon, jest pochodzenia afrykańskiego, w żyłach jego ani jedna kropla krwi europejskiej nie płynie.

Pod względem wzrostu i postawy jest kolosem. Twarz nie jest piękną, lecz rysy wyraziste, czoło wysokie i wypukłe, a siwe włosy okalają ciemną skórę. Ma prezydent 70 lat; mimo to jest jeszcze pełen życia i energii. Nie posiadając wielkiego wykształcenia, poszczycić się jednakże może przymiotem, który rzadko bardzo bywa spotykanym u ludzi w strefach gorących, a nie zawsze u zamieszkujących kraje o klimacie umiarkowanym: zdrowym rozsądkiem. Zrozumiał doskonale, że w kraju burzonym przez lat 40 przez różnego rodzaju rewolucye, pierwszą rzeczą jest obezwładnić ludzi, czyniących z przewrotów pewien rodzaj spekulacji. Przed nim wcale niewiele ryzykowało się, obalając rząd. Zapewniano mnie, że w czasie ostatniej rewolucyi dokonano zmiany rządu, kapitałem wynoszącym 30 do 40 tysięcy piastrow; co do powstańców, to najczęściej szukają oni schronienia w konsulatach, żołnierze się rozsypują, a zwycięzki rząd, dla przykładu, każe zwykle kilku z nich rozstrzelać.

Powstańcy należą do wyższych klas społeczeństwa; lud prosty bowiem jest z natury łagodny i spokojny. W r. 1883 podnieśli bunt młodzieńcy, którzy pokończyli nauki w Paryżu i po powrocie nie znaleźli odpowiedniego zajęcia swemu urodzeniu i wykształceniu, a dla których stosownymi byłyby tylko urzędy publiczne lub kratki sądowe. Adwokatura jest zazwyczaj licznie obsadzoną; obecnie znajduje się czterdziestu trzech obrońców w Port-au-Prince, a z tych zaledwie czterech lub pięciu jest w stanie uczciwie zarobić na kawałek chleba. Urzędy publiczne są obsadzone, a w razie wakansu nie braknie kandydatów. Mł-

dzieniec, który odebrał wychowanie w Paryżu i podrażnił swój gust jego bulwarami, po powrocie do kraju marzy jedynie o tem, jakby zrobić pieniądze i jaknajprędzej uciec do stolicy świata, by tam pędzić rozkoszny żywot. Jednym ze środków doświadczenia tego celu — jest rewolucya. Jeżeli pomyśleć, że ten sposób wywoływania rewolucyi ciągnie się od lat pięćdziesięciu, i że rząd nie wytrwał nigdy więcej nad dwa lub trzy lata, można sobie wyobrazić, jak kolosalne zamieszanie sprawił generał Salomon w obyczajach politycznych Haiti, uspakajając rewolucye, które tam niejako były zwyczajem.

Skutkiem tego, zrobił sobie wielu nieprzyjaciół, którzy przedstawiają go jako tygrysa krwi chciwego, utrzymują nawet, że należy do sekty Vautour, i, że się żywi przeważnie mięsem małych dzieci. Udało mi się dostać do mnie tego tygrysa. Uczynił mi zaszczyt i zaprosił do swej willi „Solitude“ na obiad i jestem zmuszony wyznać, że w potrawach mięsnych nie znalazłem żadnego smaku niezwykłego. Obiad składał się z menu wykwińskiego, jak w pierwszorzędnej restauracji paryskiej. Willa prezydenta oddalona jest o dwa kilometry od Port-au-Prince, leży u stóp wzgórz, które ją osłania od gorących wiatrów południowych, przy drodze, któraby wiele zyskała, gdyby ją wybrukowano. Jestto pałacyk, który niczem się nie różni od domów sąsiednich, zamieszkiwanych przez konsulów i znaczniejszych kupców, udających się codziennie konno do swych zajęć.

Przed domem prezydenta niema żadnej warty; zwyczajny szwajcar, który nawet nie ma zwykłej łoży. Przebyłem skromny ogródek, pozbawiony drzew i cieniu, wstąpiłem na kilka stopni werendy. Młody adjutant, w zielonym mundurze, kapeluszu z pióropuszem i czerwonych pantalonach, wprowadził mnie do salonu. Generał przedstawił mi swę żonę, inteligentną i pełną wdzięku Paryżankę, która potrafiła zyskać wielką popularność w Haiti. Współbiesiadnikami byli: konsul hiszpański i 5-ciu ministrów i sekretarzy stanu, rozmaitej cery, od czarnej do jasno-brunatnej. Salon i jadalnia umeblowane są skromnie, ale gustownie. Służbę pełniło czterech ugalonowanych lokai. Prezydent i jego ministrowie są ludźmi wykształconymi i obznajomionymi z życiem i stosunkami europejskimi. Generał Salomon przez lat dwadzieścia był posłem Rzeczypospolitej Haiti w Paryżu i Londynie, następnie otrzymał tekę ministerium finansów za prezydentury znakomitego Soulouque'a.

Rozmowa toczyła się gładko, tak, że chwila mi zapomniałem, że jestem tak daleko od parku Monceau. Przy deserze rozpoczęły się mowy. Prezydent pierwszy wniósł toast za pomyślność Francyi. „Francuz mnie wychował — mówił Salomon — i zrobił ze mnie to, czem dziś jestem. Czyż mogę być niewdzięcznym Francyi? Nieprzyjaciele oskarżają mnie, że nie sprzyjam białym: zaślubiłem kobietę białą i (spoglądając na żonę ze słodkim uśmiechem) wieszuję sobie tego codziennie. Utrzymują również, że nienawidzę Murzynów: wybrałem z pomiędzy wielu dwóch ministrów. Powiadają, że się z bogacił kosztem mego kraju: gdyby mnie byli obalili i rozstrzelali przed trzema laty, nie zostawiłbym wdowie i tysiąca piastów rocznego dochodu. Wiem doskonale, czego nam braknie, ale mamy przynajmniej pokój wewnętrzny zapewniony i zupełny. Gdy objął zarząd Haiti, potracano się o trupy na drogach; dzisiaj obcokrajowiec może podróżować w najodleglejsze pagórki naszej wyspy bez najmniejszego niebezpieczeństwa.

„Pozostaje nam wiele do zrobienia, wiem o tem aż nadto, ale przypuszczam, żeśmy skończyli z wojnami cywilnymi i skutkiem tego zdołamy odzyskać czas stracony. Mimo trudności w sprawach domowych byliśmy zawsze słownymi w naszych obowiązkach, zapłaciliśmy dług Francyi i rządowi San-Domingo; pozwalamy grubo zarabiać obcym, którzy nas wyzyskują. Niepodobna jednakże zrobić wszystkiego naraz i należy się rachować z opinią publiczną.“ Otóż treść mowy, jeżeli mnie pamięć nie myli. Następnie przemawiał jeden z sekretarzy stanu; dalej pani prezydentowa, w czystym akcencie paryżkim i bar-

dzo wymownie. Ale wszystko ma koniec na tym bożym świecie, nawet mowy na Haiti. Przewyborna kawa hajtyjska i cygara hawańskie zapraszały nas na werendę. Powietrze było chłodne, niebo usiane gwiazdami, i spędziliśmy bardzo przyjemny wieczór wśród zacnych ludzi, tak, zacnych — albo się grubo myle!

Jeżeli rząd i wyższe klasy społeczeństwa pod wszystkimi względami zbliżają się do Francuzów, to lud prosty owiele się od tych ostatnich różni obyczajami. O jutrze i oszczędności, nie ma u nich mowy; co prawda, ziemia jest tam tak urodzajną i jest jej tyle, że wyżywić się nie trudno. Jadają nie w oznaczonych porach, lecz wtedy, gdy im się jeść chce, i są pod wieloma względami leniwi, to też — jak powiedział generał Salomon — są eksploatowani przez obcokrajowców. Na Haiti znajdują się wszystkiego trzy fabryki parowe kawy. Największa należy do Niemca, a wybudowanie jej — jak mnie zapewniano — kosztowało przeszło milion. Zwiedziłem jedną z nich, należącą do Francuza, a położoną w bliskości Port-au-Prince.

Nie będę opisywał zluszczenia, suszenia, czyśczenia i t. p. kawy: powiem tylko, że nowy sposób przygotowywania jej jest od 30 do 40 procentów lepszy, aniżeli dawniejszy.

Skutkiem konkordatu papieżkiego w roku 1860 stosunki religijne na Haiti znakomicie się zmieniły. Katolicyzm odrodził się i Rzeczpospolita stała się państwem kościelnem; posiada Arcybiskupa w Port-au-Prince, pięć dyecezyi i siedm dziesiąt jeden probostw, z 97 duchownymi, przeważnie bretońskiego pochodzenia. „Probostwo moje — opowiadał mi pewien ksiądz wiejski — ma przeszło dziesięć mil i często muszę nocną porą udawać się na 5 lub 6 mil dla dania ostatniego namaszczenia umierającemu. Arcybiskup pobiera wszystkiego 3,750 gourde'ów (około 22 tysięcy franków), biskup 2,250 (13,500 franków), a ksiądz po 225 (1,350 franków), przyczem jeszcze pensją nieregularnie wypłacają. Dochód z ofiar jest prawie żaden, gdyż naród jest mało bardzo dobroczynnym. Do trudów i niewygód przyłącza się jeszcze niezdrowy klimat. W 1882 r. umarło czterestu księży skutkiem wysiłku pracy. Febrę i małokrzyżosć są tu chorobami panującymi. Czy przynajmniej duchowieństwo jest wynagradzanem za swe trudy i starania? Ludność jest łagodną i poddaje się łatwym wpływom umysłowym; poważa księży i szanuje obrządk.

Monogamia jeszcze się niezupełnie przyjęła na Haiti. Matki są bardzo rade, gdy mogą — według ich wyrażenia — „pomieścić swą córkę“ a pomieścić i wydać za mąż — wcale nie są tu synonymami. Zachowanie przepisów religijnych jest owiele łatwiejszem do obserwowania, aniżeli przepisów moralnych.

Haiti posiada parlament, i, co ważniejsza, szkoły i sądy.

Nie podobna już dziś wątpić, że Haityjczycy są na drodze do zupełnej cywilizacji europejskiej, że jest ona u nich tylko kwestyą czasu.

## Kronika działalności kobiecej.

— Pomiedzy darami, jakie królowa Wiktorya otrzymała od kobiet angielskich, znajduje się książka kucharska dla rodzin ubogich: „Penny Cookery Book“ pisana z myślą, aby każda kobieta niezamożnej rodziny umiała przygotować zdrowo i smacznie rodzinie swej pożywienie. Autorką jest pani z wyższej już, bo szlacheckiej klasy, M-rs de Vere Matthiew. Królowa przyjęła dar ze szczególnem odznaczeniem. Poprzednio już tasama pani wydała podobną książkę: „Supper Dishes for People with Small Means.“ (Dania wieczorne dla ludzi ograniczonymi środkami). Królowa Wiktorya życzy sobie, aby M-rs de Ve-

re Matthiew została nagrodzoną Medalem Alberta za zasługę społeczną. Dodać należy, że autorka, która oddaje książkę swoją za penny, to jest 5 gr., nie odzyskuje kosztów wydania. Myśl poczciwa o dobru ludzi godną jest uznania, choćby działała w sferze interesów pozornie niskich.

— Wszystkie gminy angielskie uwieczyły sobie jubileusz królowej sposobem bardzo pięknym i szlachetnie pomyslanym. W chwili, gdy królowa przyjmowała w katedrze Westminsteru błogosławieństwo prymasa państwa, zasadzonym został na gruncie każdej gminy, przy zebraniu całej ludności miejscowej i śpiewie narodowego hymnu, młody dąbek, rękami matrony, którą gmina uznała za najcenniejszą małżonkę i matkę rodziny. Drzewko dostało nazwę: „Drzewo królowej“.

— Szwajcarskie kantony: Bern, Fribourg, Waadt, Walis, Neuenbourg i Genewa, które związały się w „Konkordat opieki nad młodemi nauczycielkami, wyjeżdżającymi z kraju“, zebrały się przez delegatów swoich do Lozanny dla skutecznego czuwania nad ich losem. Wskutek tego postanowiono rozciągnąć na razie większą bacność nad wyjeżdżającymi do Austro-Węgier, w Wiedniu i Peszcie, założyc schronienia dla nauczycielek i bon szwajcarskich, z własnym swym zarządem i biurem stręczęń. Postanowiono również środek ten rozciągnąć kolejno do innych krajów. Pomiedzy miejscami, gdzie zakłady takie wznieść postanowiono, wymieniona jest Warszawa.

— W Genewie umarła Francuzka, wdowa po greckim publicyście, Adelaida Terzetti, autorka obszernego i uczzonego dzieła: „Starożytna i nowożytna Grecya“, które w swoim czasie przedstawiał Instytutowi Francuzkiemu jeden z jego członków, margrabia de Saint Hilaire. Instytut uczynił autorkę swoim członkiem korespondentem, co jest już wysokim zaszczytem w naukowym świecie, gdzie Instytut Francuzki używa nigdy mienaruszonej a wysokiej powagi. Z powodu śmierci tej pisarki, dzienniki francuzkie, czyniąc wzmiankę o jej zgonie i pracach, z których wiele jest jeszcze niedrukowanych, dodają, że takzwana emancypacja kobiety, która dziś jest podnoszona jako owoc ostatnich lat naszego wieku, istniała oddawien dawna, bo gdy kobieta przez pracę swoją równała się w zasłudze dla kraju lub ludzkości z mężczyzną, przyznawano jej to najzupełniej. Dziś tylko kobieta ubiega się o pracę samodzielną w tych różnych jej gałęziach chlebobajnych, w których występuje jako współwzrostniczka mężczyzny bez żadnej dla siebie korzyści, lecz przeciwnie, z wielką szkodą własną, bo ubiegnięty przez nią mężczyzna, pozostając bez zajęcia, nie stworzy już ogniska domowego, gdzieby zasiadła obok małżonka i matka jego dzieci Samodzielną pracą kobiet na chleb w kierunkach zajmowanych dawniej przez mężczyznę jedynie jest jednym z najgłośniejszych powodów, że jest na świecie tyle kobiet samotnych i równowaga moralna świata zwichniętą zostaje. Autor tych wywodów, Henryk Stanisław de Queux, przywodzi na ich poparcie liczby, wykazujące, ile to jest miejsc pracy, we Francyi samej, które dawniej zajmowane przez mężczyznę, żywiły prawie bez wyjątku, żonę i dzieci, a które dziś tylko wyjątkowo zajmuje mężatka. Mężczyzna idący na chleb żony jest wyjątkiem. Posag żony otrzymać — jest to zupełnie co innego, bo staje się on mieniem wspólnem, którem mąż zarządza, i ztąd nie przestaje być głową rodziny. Choć i tu zdarza się nieraz, że tylko pozór jest uratowanym, że próżniak lub niedołęga żyje z funduszu kobiety, zaślubionej dla pieniędzy, ale i ten pozór coś znaczy, bo bezcelności tu niema. Przytem dobre administrowanie majątkiem, obracanie otrzymanymi pieniędzmi jest rzeczą ważną, z której posażna żona i jej dzieci korzyści ciągną, lecz teraz dają się widzieć rodziny, które praca żony utrzymuje całkowicie. Że przecież mało jest mężczyzn tak jawnie obranych z męskiej godności, pracownice zostają przeważnie samotnymi na posadach, które byłyby dały utrzymanie rodzinie. Autor powołuje się w broszurze swojej na zdanie ekonomistów francuzkich i angielskich i cyframi dowodzi, jak celibat zwiększa się coraz nietylko we Francyi, głó-

wnie z powodu trudności utrzymania rodziny. Mężczyzna, dla braku środków, nie może żenić się młodo, wtedy, gdy uczucie naturalne popycha go do tego, następnie obojętnie, przyzwyczajają się do swego stanu samotności i już zmienić go nie pragnie. Oszczędność w rodzinach i nieubieganie się kobiety o miejsca chlebobojne usunięcia, z życia obojga, tak mężczyzny; jak kobiety, zbyt-kowych potrzeb i nawyknień kosztownych; zwrot do prostoty i uczuć serca po wszystkie wieki i czasy ludzi wrodzonych, niewywracanie porządku natury: oto to lekarstwo jedyne.

## Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Wystawa paryzka** zostanie niewątpliwie odroczone do 1890 r. Skłania do tego, tak trudność wykończenia na czas potrzebnych robót, jak wzgląd na kraje ościenne, których rządy nie chciałyby uczestniczyć przez swoich komisarzy wystawowych w manifestacji na cześć pierwszej rewolucji francuskiej, jaką stałoby się niezawodnie otwarcie wystawy.

— **Międzynarodowy konkurs** w zakresie umiejętności, sztuk i przemysłu, mieć będzie miejsce w roku przyszłym w Brukseli, gdzie ma się odbywać jednocześnie 50 wystaw specjalnych, tworzących w całości swojej jeden wielki obraz umysłowego, artystycznego i przemysłowego ruchu naszego czasu. Król Belgijski przyjął już protektorat, Książę Flandryi honorowe przyzdowanie, a budynki mające mieścić te wystawy, gotowe będą na dzień 1-go Lutego 1888 roku. Stawiane mocno i trwale, mają się zamienić następnie w muzeum tego rodzaju, jak londyńskie South Kensington Museum, mieszczące obok nieustających wystaw artystycznych i pomocniczych w przemyśle, szkoły odpowiednie. Kosztować one będą rząd Belgii 5 milionów franków, otacza je przytem piękny park, na 70 morgów rozległy. Termin otwarcia naznaczony już jest na dzień 3-go Maja 1888 r.

— **Własność literacka wykładów professor-skich** stała się w Anglii przedmiotem sporów, rozstrzyganych sądownie. Prof. fil. Caird, wykładający w Glasgowie, miał w ciągu zeszłego roku szereg wykładów o filozofii moralności, które wygłaszał głównie z pamięci, czasami tylko posługując się notatkami. Jeden ze słuchaczy spisał je stenograficznie i sprzedał księgarzowi, identyczne co do treści i porządku myśli, tylko zmienne nieco w wysłowieniu. Professor Caird wystąpił sądownie ze skargą przeciw wydawcy, który w obronie swej powołał się na prawo z czasów Wilhelma IV-go, według którego wykłady professorów, wygłaszane z katedry, stają się własnością publiczną. Sąd pierwszej instancji obronę tę usunął ze względu, że wydawca powinien był zapytać o pozwolenie prawnego właściciela. Druga instancja wyrok zwała, ale najwyższy sąd kraju, Izba Lordów, uznała książkę za wydaną bezprawnie i podlegającą surowości prawa jako plagiat.

— **Świeżo wyszła w Paryżu książka** Renana, pod tytułem: „Discours et conférences,“ mieści między innymi rozprawę: „Qu'est ce qu'une nation?“ „Naród—odpowiada sobie pisarz francuski jest to dusza i zasada duchowa. Dwie te rzeczy stanowią razem całość. Jedną z nich przynosi przeszłość, drugą stwarza teraźniejszość—jedna jest zbiorem bogatych spadków i wspomnień, druga pragnieniem wspólnego z ich pamięcią istnienia,

wola niepodzielnego przekazywania potomności odziedziczonych i nabytych skarbów. Człowieka jako istoty moralnej, na zadanie tworzyć nie można; naród jest tak, jak człowiek, wynikiem przeszłych prac, poświęceń i miłości. Cześć przodków jest uczuciem legalnym, gdyż przeszłość uczyniła nas tem, czem jesteśmy. Przeszłość bohaterska, stworzona przez wielkich ludzi, opromieniona sławą—to kapitał społeczny, podkład idei narodowej. Posiadać wspólną, sławną przeszłość, mieć wolę mocną trwania razem: posiadać wiadomość spełnionych wspólnie wielkich czynów i silną chęć spełniania ich w przyszłości—to podstawowe warunki narodowego bytu. Miłość poniesionych cierpień czyni naród zdolnym do poświęceń na korzyść wspólnego bytu. Kocha się dom, zbudowany pracą rąk swoich, gdy się go przekazuje pokoleniom, które po nas nastąpią.“

„Z przeszłości brać dziedzictwo sławy i cierpienia, dla przyszłości mieć wspólny programat nieprzerwywanego się łańcucha bytu: czuć, cierpieć, cieszyć się i wierzyć wspólnie—to rzecz większego znaczenia, niż wszelkie urzędy celne i granice, wykreślone na podstawach strategii. Cierpienia to cement, spajający silniej, niż szczęście—w zakresie wspomnień narodowych żaloba stoi wyżej, niżeli radości, bo potężniej wznaga uczucie obowiązku i nakazuje wyższe nateżenia sił w pracy. Naród jest kapitałem solidarnym, złożonym przez ofiarną powszechną już poniesioną i tę, która gotową jest do spełnienia się. Istnienie narodu znacząca się w każdym głosowaniu powszechnem na rzecz wspólnej ofiary, jak życie człowieka zaznacza się aktami, żywotność stwierdzającami.“

„Teorya ta nie przekonywa może w sposób tak dobitny, jak powoływanie się na cechy etnograficzne, ale jest od niej gruntowniejsza. Człowiek nie jest wprzężony w jarzmo ani rasy, ani geografii, czy geologii. Wielkie zbiorowisko ludzi, zjednoczonych jedną myślą i jednym gorącym uczuciem, stwarza osobę moralną ze świadomym pojęciem istoty swojej, która nosi miano narodu. Póki to pojęcie tchnie życiem i świadczy o sobie przez ofiarę, składaną na ołtarzu wspólnego dobra, póty naród ma prawo i zasadę życia. Poczucie się do tego—poczucia tego głos rozstrzyga w sprawach spornych.“

Renan, który całą swoją teorią narodowości opiera na pamięci historycznej co do przeszłości, a poczuciu się do obowiązków wspólnego poświęcenia w chwili teraźniejszej, zwraca się do tych, którzy zatracają w sobie jedno i drugie, przywołując im na pamięć treny Jeremiasza: „O jakże był głębokim myślicielem ten Żyd, który na sześć wieków przed Chrystusem wołał, patrząc na upadające mocarstwa:—Tak oto narody zapadają w nieość i pracują na to, aby się stać pastwą płomieni.“

— **Podwodny las**, ukazujący się w Ameryce Północnej w głębi rzeki Kolumbia stał się obecnie przedmiotem studyów geologa Oulkon'a. Grupy drzew, na poły już spróchniałych, stojące w niedalekiej odległości od brzegu, a które, jak dokładnie widzieć można, wznoszą się z gruntu, stanowiącego dno rzeki i są silnie w nim zakorzenione. — Czy jednak mogą być uważane za produkt roślinności podwodnej? Gdy uczeni badacze przyrody odpowiadają, że nie, Oulkon stawia z kolei pytanie: w jaki sposób znalazły się na dnie rzeki? Jedni naturaliści przypuszczają oberwanie się lesistej wyniosłości nadbrzeżnej i zatopienie się w falach rzeki lasu, kataklizmem tym porwanego, inni sądzą, że to raczej woda las zalała, gdy jakieś wstrząśnienia wulkaniczne zniżyło dno rzeki i otworzyło ujście wodom pod-

ziemnym. Oulkon przystąpi do badań bez żadnej naprzód przyjętej teoryi, bo tak jedynie przy badaniach zjawisk natury można dojść prawdy.

— **Bięgun Północny** nie przestaje dotąd przyciągać do siebie ludzi. Niejaki Alexander Mac Arthur, należący do zarządu Hundson's-bay-Company, opuścił dnia 13 Lutego Winnipeg z zamiarem dostania się do Fort Churchill, by ztamtąd, posuwając się wzdłuż Zatoki Hundsonskiej przez Kraj Króla Wilhelma i zatokę Boothia Felix, zwrócić się na północ - zachód. Sa to przecież tesame okolice podbiegunowe, wśród których wyprawa angielskiego podróżnika Ross w 1829 do 1833 r., przebywała tak straszliwe nędze i cierpienia, gdzie następnie nieszczęśliwy kapitan Franklin z załogą swoją zginął. Mac Arthur zamierza przemieścić się w Kraju Króla Wilhelma, by z następną wiosną puścić się przez Lancaster-Sund i ku północy posuwać się wzdłuż wschodnich brzegów North-Devon. Ztamtąd zwrócić się chce ku małym i naukowo badanym wyspom Grinell's-Land. Podróż ta, według zamiaru Mac Arthura ma trwać lat cztery.

— **Wiedeński klub podróżników** przyznał na rok 1887 godność mistrza bicyklistów Augustowi Aichele z Zurychu, który przestrzeń 2,000 metrów przebiegł na bicyklu w przeciągu 3 minut i 35 sekund. Takasama godność, jako trycyklista, otrzymał Antoni Sild, członek klubu, który przebiegł na trycyklu takążsamą przestrzeń 2,000 metrów w minut 3 i sekund 48.

## NOWE KSIĄŻKI.

**Boniecki A.**, Poczet rodów w Wielk. Ks. Litewskiem w XV i XVI wieku, rs. 10.

**Daniell A.**, Zasady fizyki. Podręcznik z 257 drzeworytami w tekście. Przełożył z upoważnienia autora, podług najnowszego wydania angielskiego, J. J. Boguski, rs. 7 k. 50.

**Ebers Jerzy**, Serapis, romans historyczny. Z upoważnienia autora przełożył z niemieckiego Władysław Kornel Zieliński; 2 tomy, Lwów, rs. 2 kop. 40.

**Jokaj J.**, Marmurowe głowy; romans połączony z krytyką. Tłumaczył Benedykt Pobóg, rs. 1 kop. 20.

**Korwin** (Chelmiński W.), Z życia, nowelle i satyry, kop. 75.

**Kraszewski Józef Ignacy**, Szkic biograficzno-krytyczny. Pamiętka jego pogrzebu, Kraków, kop. 65.

**Leniek Jan Dr**, Władysław Biały, kop. 50.

**Mieroszewski hr. Stanisław**, Kilka słów o heraldyce polskiej, Kraków, 1887, rs. 2.

**Mill, Stuart John**, Poddaństwo kobiet. Tłumaczenie M. Ch. Wydanie drugie, z portretem autora, Kraków, 1887 rs. 1.

**Miłość nieszczęśliwego** czyli Król fantastyk, romans historyczny. Przekład z francuskiego, rs. 1 kop. 20.

**Plebański J. K.**, Recepta na to, abyśmy się długo w ojczyźniej ziemi osiedzieli. A. 1682. Dokument historyczny do dziejów polskich, z rękopisu, kop. 50.

**Poeche Izidor**, Breviarzyk salonowy. Prawidła i wskazówki do zachowania dobrego tonu w życiu towarzyskim, Rzeszów, 1887, kop. 90.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 18-ty powieści pod tyt.: **Konieczność**, przez M. E. Braddon; oraz arkusz 8-my powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabusson.

**TREŚĆ:** Eugenia John (Marlitt), przez Maryą Pnicką. — **Filistry**, powieść (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — **Ruch muzyczny, nika działalności kobiecej.** — **Z bieżącej chwili.**

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 18-ty powieści pod tytułem: **Konieczność**, przez E. Braddon; oraz arkusz 8-my powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabussona. — **Przegląd mód.** — 45 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycyą stołu.**

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

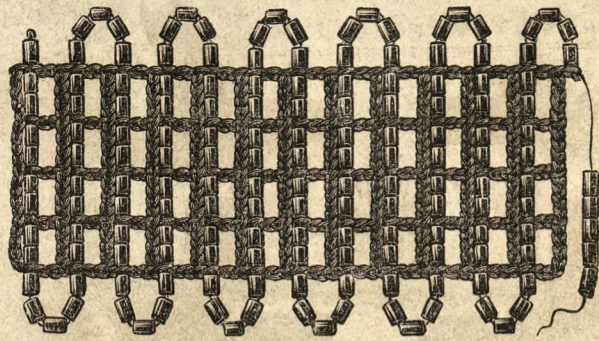
Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Доволено Цензурою.—Варшава, 15 Іюля 1887 года.





Nr 2. Mantylka z koronkowej chustki. Plecy. (Do ryc. 3).



Nr 1. Galonik do przybrania sukien. okryć szydełkową robotą.

pewnego czasu objawia się upodobanie ku oryginalnym wyrobom kobiet bułgarskich i serbskich; tkaniny te i hafty nader pracowite, bardzo się nadają na rozmaite przedmioty gospodarskie i dla tego mnóstwo mamy deseni w tym guście, za pomocą których możemy przeslicznie przyozdabiać sukienki dziecinne, fartuszki, a przede wszystkim ręczniki, obrusy ogrodowe, pokrycia na tualety, kapy, serwety i t. p. przedmioty. Oprócz jedwabów i bawełny w rozmaitych kolorach i cieniach używają się do tych haftów sznureczki złote i srebrne, tudzież tasiemeczki w perskie desenie i kordonki „macramé”. Jako tła do tego rodzaju robót, najczęściej się dziś używają miękkie lniane wyroby luźno tkane, znane



Nr 3. Mantylka z koronkowej chustki. Przód. (Do ryc. 2).



Nr 4. Kołnierzyk z kamizelką z krepy i haftu.

O robotach ręcznych.

W obecnej chwili najwłaściwszej do wszelkich ręcznych robót, gdyż długie jasne dni przepędzane na świeżem powietrzu, najwięcej się do nich nadają, uważamy za właściwe zrobić wzmiankę o tem wszystkim, co w tym kierunku pojawiło się nowego. Nie tylko bowiem w ubraniu, lecz i w robotach ręcznych, można się dopatrzeć zmian i reform, narzuconych przez modę; wiele robót, które kilkanaście lat temu cieszyły się powodzeniem, dziś zupełnie zarzucono, inne zeszyły na drugi plan, — w niektórych jeżeli ścieg dawny pozostał, to deseni i kolory nadały temu samemu przedmiotowi zupełnie inny pozór. Nowe materiały, a przede wszystkim wskrzeszony gust ku wschodnim wzorom, silny wpływ na te zmiany wywarł. Od



Nr 6. Suknia z gładkiej i w rzuć satynki. Plecy. Opis pierw. str. tabl. (Do ryc. 7).

Nr 7. Suknia z gładkiej i w rzuć satynki. Przód. Opis pierw. str. tabl. (Do ryc. 6).



Nr 5. Kołnierzyk z kamizelką z krepy, wstażki i galonu.

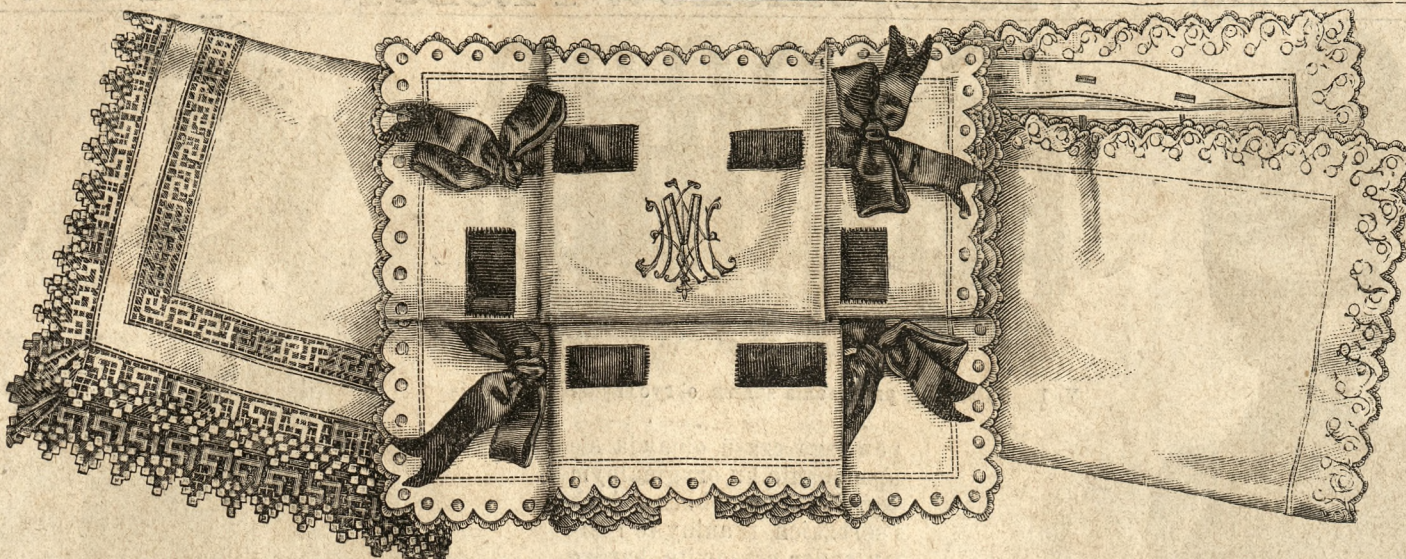
pod nazwą kanwy „Antique”, „Congrés”, „Cablé”, „Holbeinowskich”, „Serbskich” i „Holenderskich” tkanin; tudzież tureckiej gazy (kukurdyzowego koloru). Szczególniej stopy i firanki z tych materiałów, z ażurowymi szlakami, wykonanymi robotą wywlekaną, cieszą się ogromnym powodzeniem i istotnie przeslicznie przyozdabiają mieszkanie, świadcząc zarazem o pracowitości gospodyni domu. Te same przedmioty można wykonywać szydełkiem z bawełny szarej, lub kremowej; kolorowe bawełny mniejsze tu mają zastosowanie, jednakże na lambrekiny, draperie do koszów i t. d., jako tła pod haft mogą być użyte. Frenzdle robotą wiązaną, tu-

dzień koronki klockowe i szydełkowe z nici „macramé“ i grubych alzackich kordonków, używają się jako zakończenie do tych wszystkich robót. Nawet aksamitne i pluszowe przedmioty przyozdabiają się teraz szydełkowymi torsadkami i szlakami. Wszystkie roboty złożone z pasów szydełkowych, są tak wygodne do roboty, że przez to samo nigdy z mody nie wyjdą. Wszelkich materiałów do ręcznych robót, włóczek i bawełny w najnowszych kolorach, tudzież odpowiednich deseni i pozaczynanych robót dostać można w magazynie haftów i robót kościelnych, przy ulicy Markoszałwskiej, Nr 151.

### Szlak szydełkowy do ubrań

Rycina Nr 1.

Szlak robić w poprzek szydełkiem, dowolnie, czarnym lub ko-



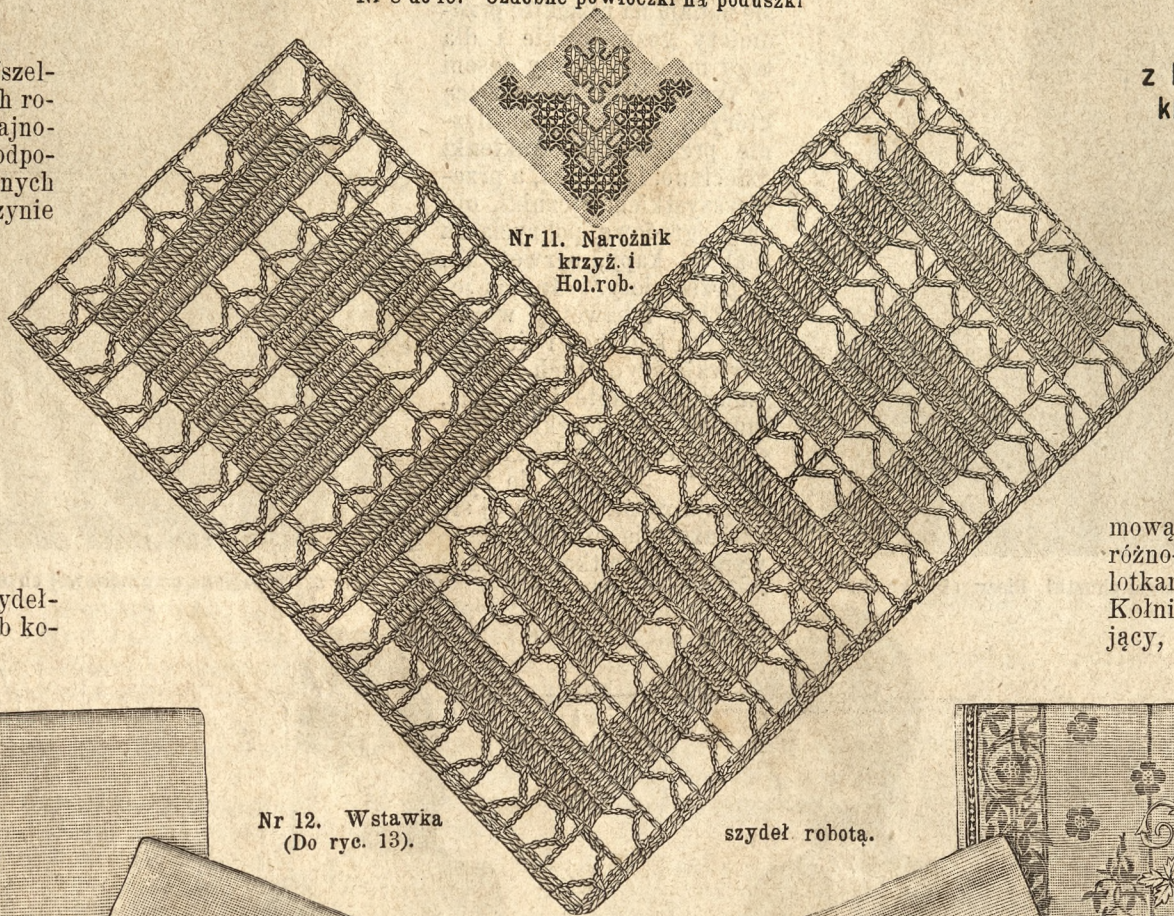
Nr 8 do 10. Ozdobne powłoczki na poduszki

go koloru i oszyć podług ryciny, 8 cent. szerokim ażurowym haftem, wykonanym białymi i żółtymi niemi. W górze połączyć napierśnikiem z kołnierzykiem, 41 centim. obwodu mającym a 4 i pół centim. szerokim, zapinanym w tyle na haftki i przybrany pliskami z krepy, oraz 4 cent. szerokim haftem.

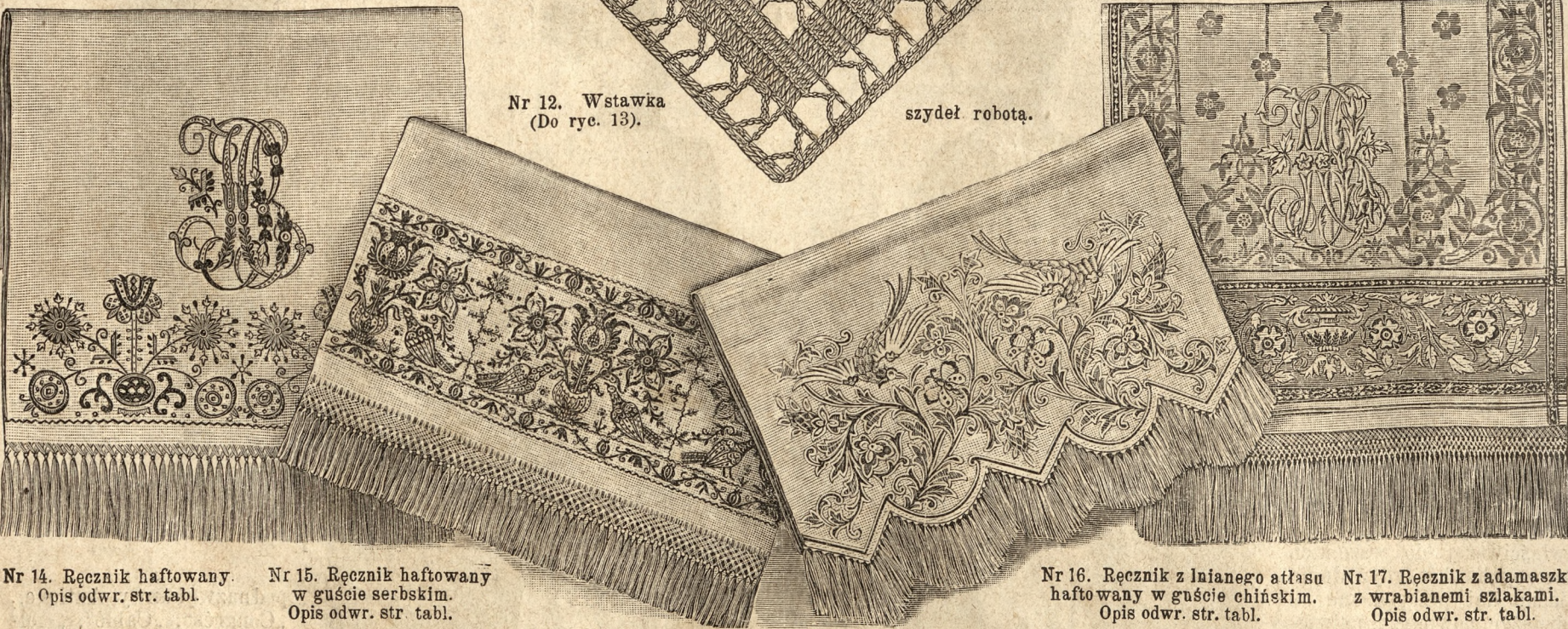
### Napierśnik z kołnierzykiem z chińskiej krapy, wstążki i szlaków

Rycina Nr 5.

Ukroić najpierw spod z muslinu, 32 c. szeroki, w górze 14 c. szeroki, podciąć go u szyi, a w dole ścieć śpiczasto i pokryć fałdowaną krepą koloru kremowego, następnie przybrać napierśnik podług ryciny 3 cent. szeroką wstążką kremową z pikotami, 4 c. szerokim różno-kolorowym szlakiem z grełkami i kokardami z wstążki. Kołnierzyk 42 cent. obwodu mający, a 4 i pół cent. szeroki, za-



Nr 11. Narożnik krzyż i Hol.rob.



Nr 12. Wstawka (Do ryc. 13).

szydeł robotą.

Nr 14. Ręcznik haftowany. Opis odwr. str. tabl.

Nr 15. Ręcznik haftowany w guście serbskim. Opis odwr. str. tabl.

Nr 16. Ręcznik z lnianego atlasu haftowany w guście chińskim. Opis odwr. str. tabl.

Nr 17. Ręcznik z adamaszku z wrabianymi szlakami. Opis odwr. str. tabl.

lorowym kordonkiem i takież perłkami. Na szlak ponawłóczyć najpierw perłki na grubą nitkę i robić następnie szydełkiem, kordonkiem, odpowiednio do ryciny w poprzek, odliczając oczka i paciorki, jak to rycina wskazuje.

### Napierśnik z kołnierzykiem z krepy i haftu.

Rycina Nr 4.

Na napierśnik wziąć 17 c. wysoki, w górze 8 cent. szeroki kawał sztywnego tiulu, podciąć go w górze owalnie na wykroj szyi, u dołu zaś ścieć śpiczasto, pokryć go fałdowaną krepą jedwabną kremowe-

pinany z tyłu na haftki, zrobić z krepy, szlaku i wstążki i połączyć z napierśnikiem.

### Koronka drutową robotą.

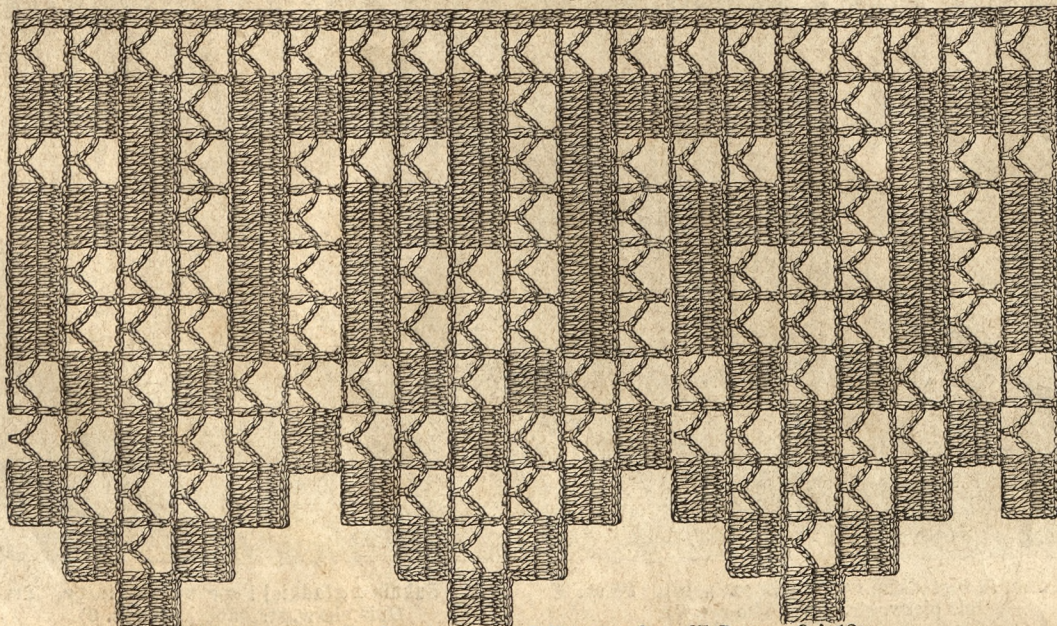
Rycina Nr 26.

Koronkę robić na stalowych drutach, cienką bawełną estremadurą, na zaczęciu z 13 oczek, kolejami w poprzek, z uwagą na wzór podany na rycinie.

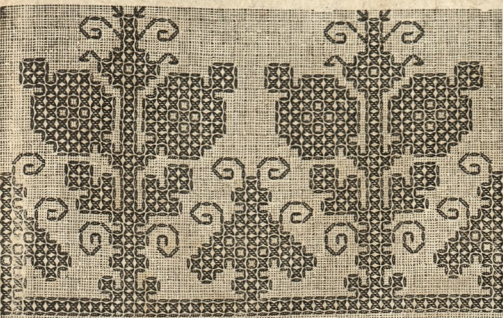
### Czepeczek nocny damski robotą drutową.

Rycina Nr 27.

Czepeczek robić stalowymi drutami, cienką bawełną estre-



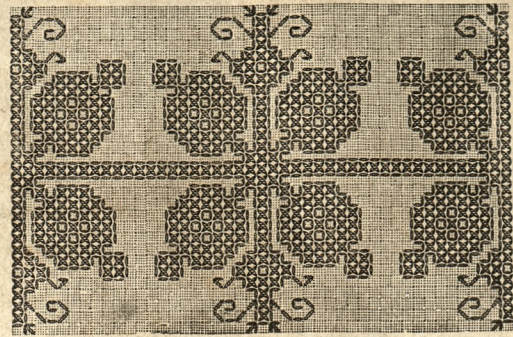
Nr 13. Koronka do pościeli szydełkową robotą. (Do ryc. 8 i 12).



Nr 18. Deseń do ryc. 21 krzyżową i Holbeina robotą.



Nr 20. Koronka do koszyka ryc. 21 szydełkową robotą.



Nr 19. Deseń do ryc. 21 krzyżową i Holbeina robotą.

madurą, na zaczęciu z 75 oczek, kolejami tam idąc i z powrotem, spuszczać i podejmując oczka odpowiednio do fasonu czepeczka, który robocie nadać należy i z uwagą na rycinę podającą dokładny wzór roboty. W końcu obrobić czepeczek w około kilku kolejami i dodać koronkę podaną pod ryciną 26, ozdobić czepeczek wstążeczką i przymocować bandażę do wiązania.

dojrzałych, kwaśnego gatunku, na wino czerwone, a chcąc mieć białe wino, wziąć zwykłych czerwonych szklanek, 20 funtów tych wisien oberwać z korzonków, ściętem piórkiem wypchnąć pestki i rozgnieść w donicy, nad którą wyjmować pestki, bo dużo przytem soku spłynie w donicę. Tak zostawić w zwykłej pokojowej temperaturze póki nie zfermentują; gdy czuć już winnym zapachem, wycisnąć sok przez płócienny worek, zlać w słój kamienny lub

**Obiad na Niedziele.**

1. Zupa szparagowa „purée“.
2. Pekefleisz z groszkiem zielonym.
3. Młode jarzynki z obwarzankami parzonymi.
4. Kaczki młode z kompotem.
5. Suflet poziomkowy.

w dębową barylkę, dodając na każdą kwartę wyciśniętego soku, półtora funta cukru, czyli mączki zwyczajnej cukrowej, bo ta się w kwasie prędzej rozpuszcza; mieszać co godzina, póki się cukier nie rozpuści; przykryć rzadkiem płótnem i zostawić znowu w tej samej temperaturze, póki nie przejdzie powtórnej fermentacji — przy której formujące się szumowiny należy zrzucić. Gdy fermentacja zupełnie ustanie, zlać wino przez flanelę do gąsiora, a następnie gdy się 24 godzin w gąsiorze ustoi, pozlewać w suche butelki, zakorkować szczelnie i układać w suchej piwnicy w piasku leżąco, — a jeżeli piwnica dobra, może się i kilka lat przechować.

L. C.

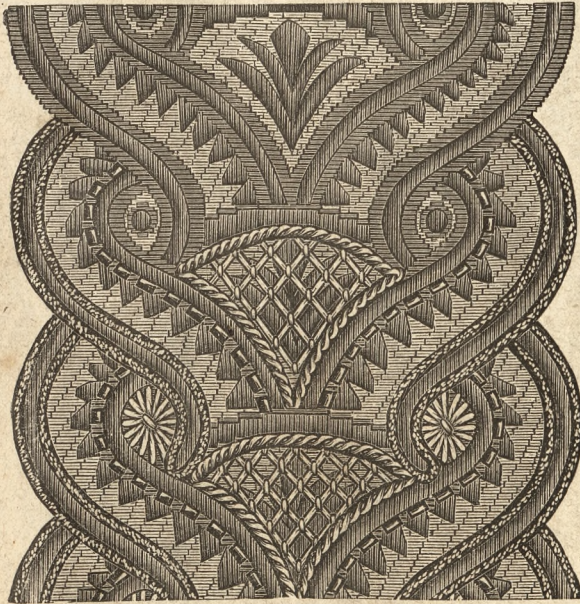
**Łatwe wino z wisien.**

W końcu Lipca lub początku Sierpnia trzeba wziąć wisien czarnych, bardzo

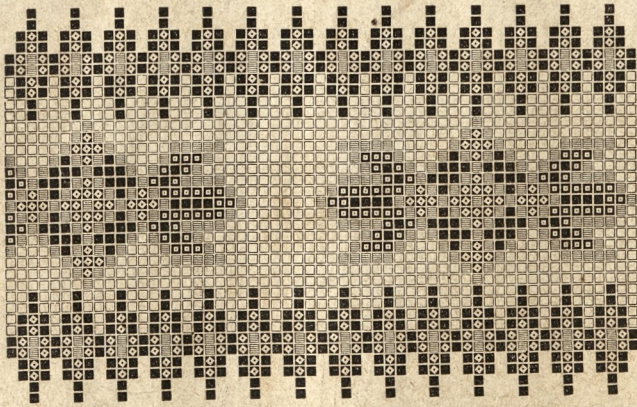


Nr 21. Koszyk ozdobiony haftem i szydeł robotą (Do r. 18—20).

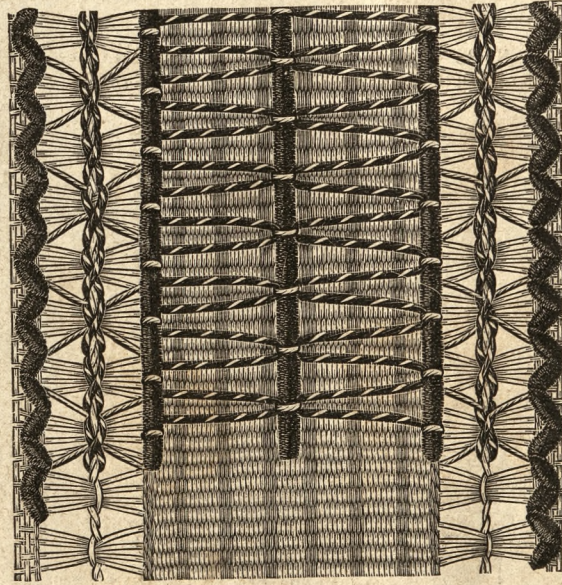
Tablica krojów dołączoną była do N-ru 29 Bluszczu.



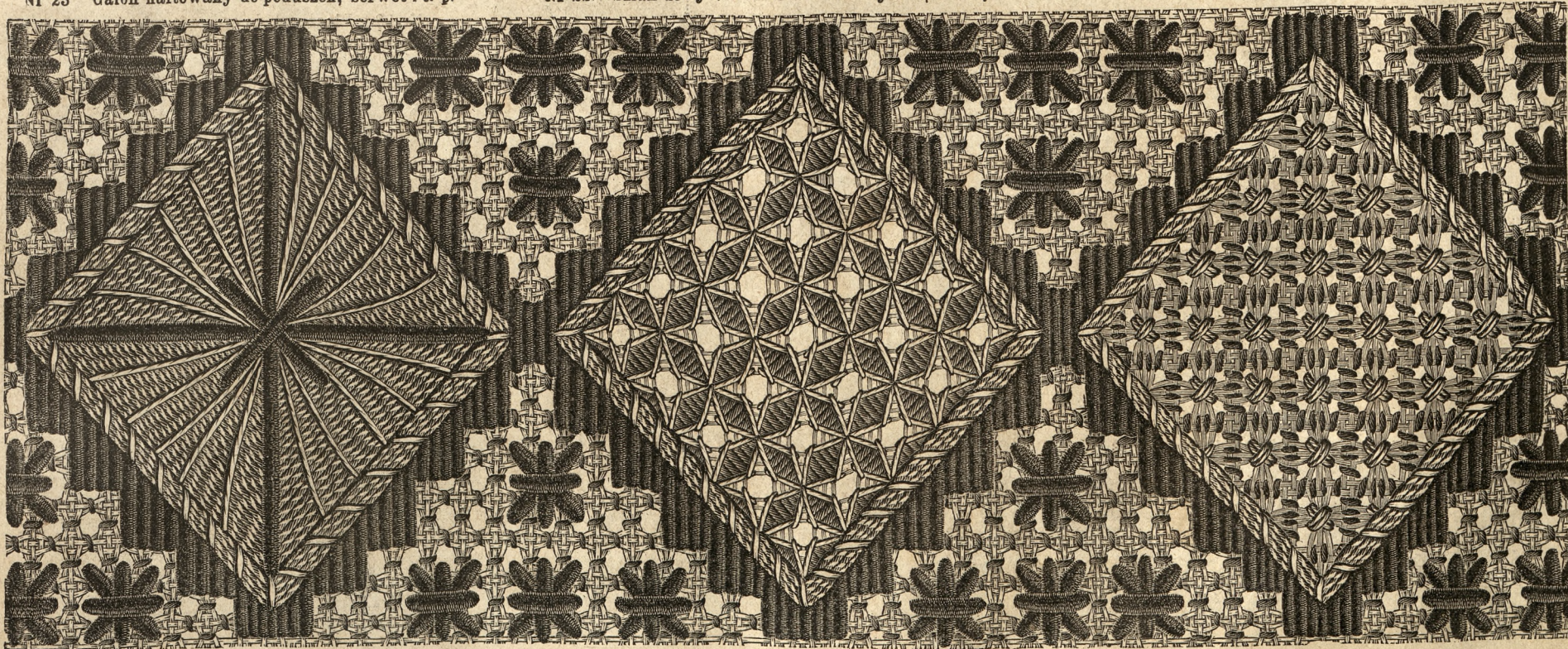
Nr 23 Galon haftowany do poduszek, serwet i t. p.



■ czarny, □ ciemno-pasowy, □ jasno-pasowy, □ oliwkowy, □ niebieski.  
Nr 22. Szlak do ryc. 3 w Bl. Nr 29 krzyżową robotą.



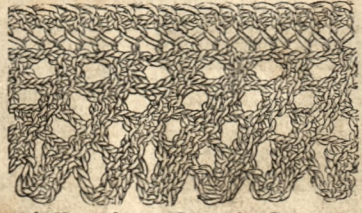
Nr 24. Szlak do serwet i t. p. (Do ryc. 25)



Nr 25. Szlaczek do serwet i t. p. (Do ryc. 24).



Nr 27. Czepek nocny na drutach. (Do ryc 26).



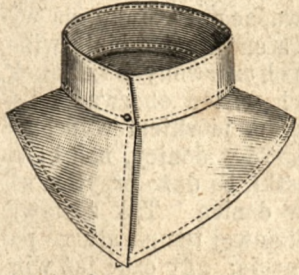
Nr 26. Koronka na drutach. (Do r. 27).



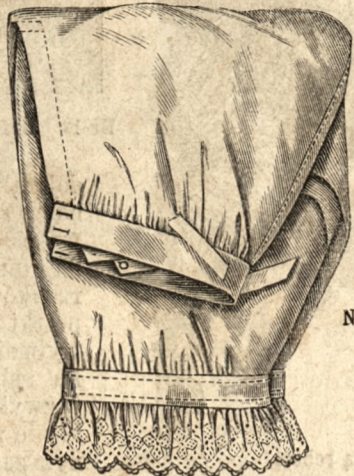
Nr 28. Koronka robotą szydełk.



Nr 29. Czepek nocny dams. Krój i opis odw. str. tabl. Nr XIV, fig. 57 i 58.



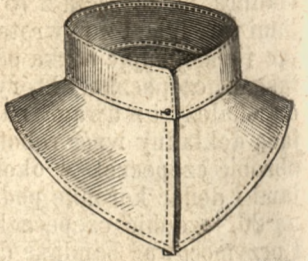
Nr 31. Kołnierzyk stojący. Krój i opis odw. str. tabl. Nr XV, fig. 59—61.



Nr 30. Spódniczka damska. Opis pier. str. t.



Nr 34. Majtki damskie. Krój i opis odw. str. tabl. Nr XI, fig. 50 i 51.



Nr 32. Kołnierzyk stojący. Krój i opis pier. str. tabl. Nr VI, fig. 31.

Nr 33. Majtki damskie. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 15 i 16.



Nr 35. Koszula nocna damska z flaneli. Krój i opis odw. str. tabl. Nr VIII, fig. 35ab—38.



Nr 36. Koszula nocna damska z materyału „Cambric”. Opis. pierw. str. tabl.

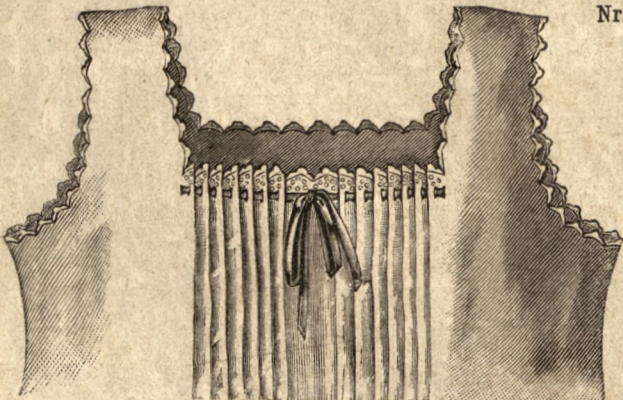


Nr 37. Kaftanik nocny. Krój i opis odw. str. tabl. Nr IX, fig. 39 — 42.

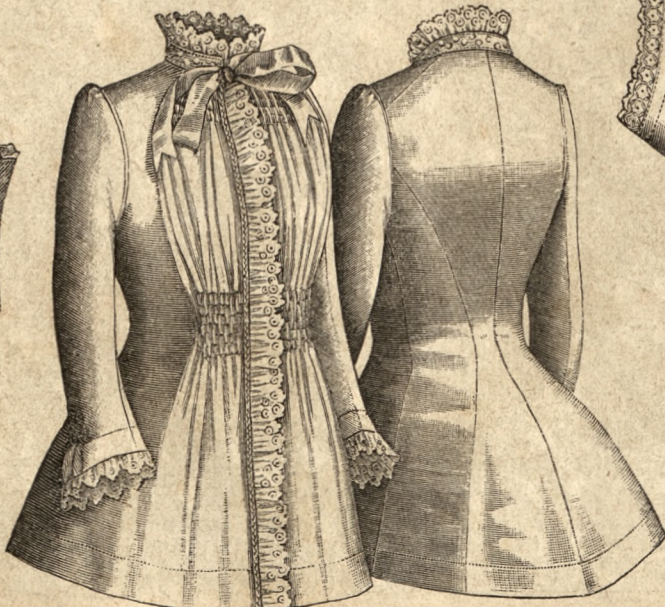


Nr 38. Płaszczek do czesania włosów. (Skrócony). Plec. (Do ryc. 39).

Nr 39. Płaszczek do czesania włosów. Prząd. (Do r. 38). Krój i opis odw. str. tabl. Nr VII, fig. 32ab—34.



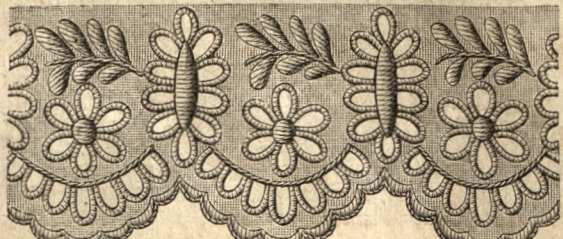
Nr 40. Koszula dzienna damska. Krój i opis odw. str. tabl. Nr XII, fig. 52 i 53.



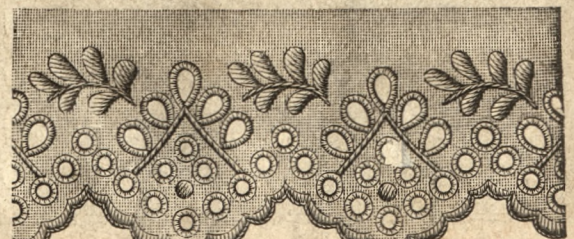
Nr 42 i 43. Kaftanik ranny. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 17—22.



Nr 41. Koszula dzienna damska. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 22 i 23.



Nr 44. Szlak do bielizny białym haftem.



Nr 45. Szlak do bielizny ciarym haftem.